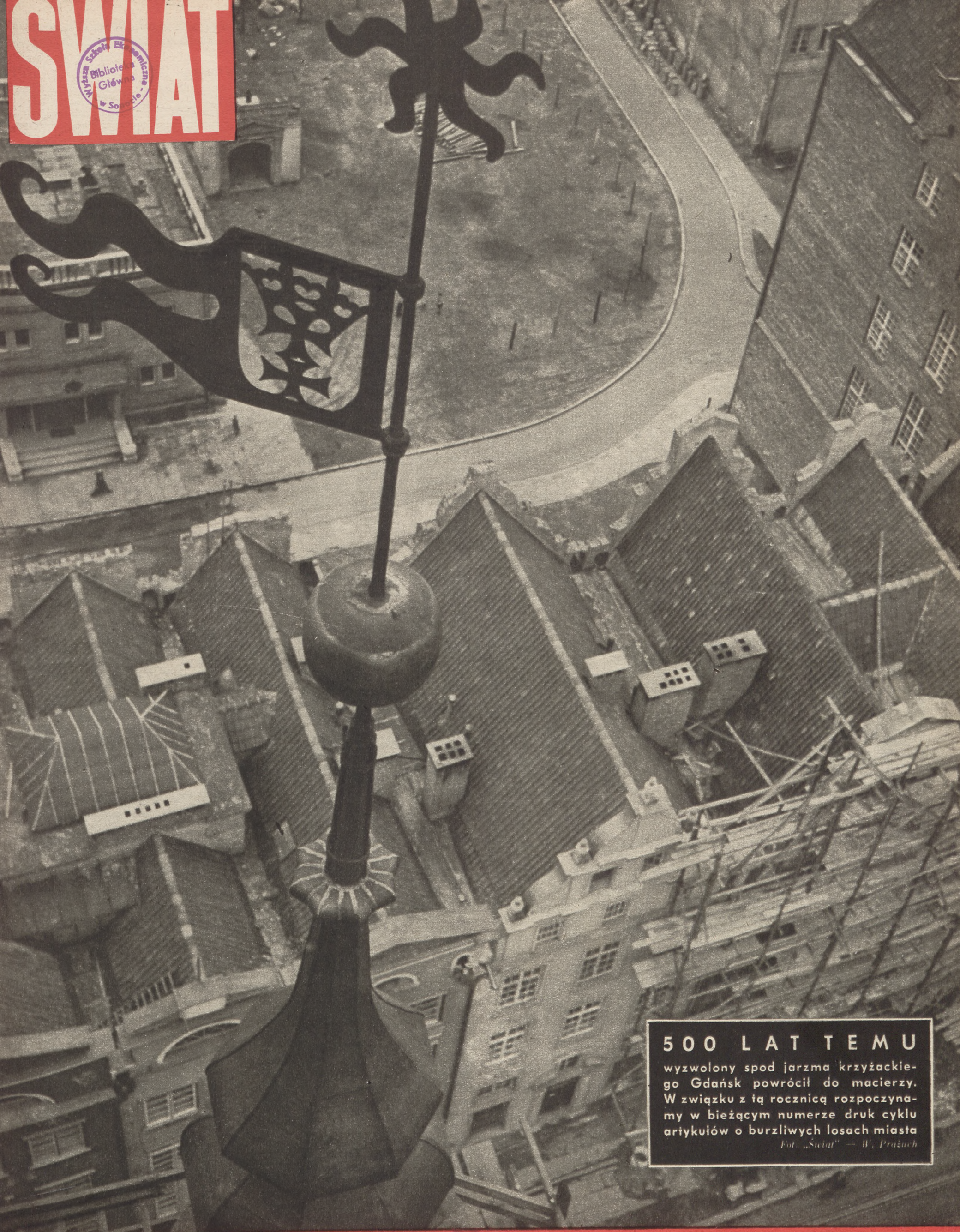




500 LAT TEMU

wyzwolony spod jarzma krzyżackiego Gdańsk powrócił do macierzy. W związku z tą rocznicą rozpoczynamy w bieżącym numerze druk cyklu ariykuiów o burzliwych losach miasta

Fot. „Świat” — W. Prażuch

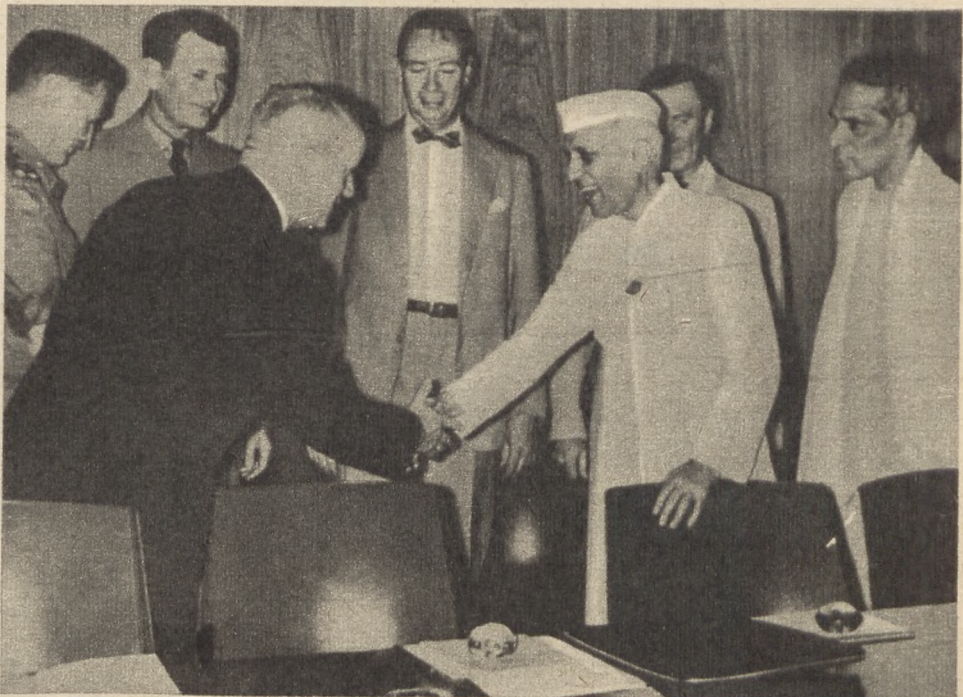
NA RYNKU W OPOLU



Jan Kosidowski

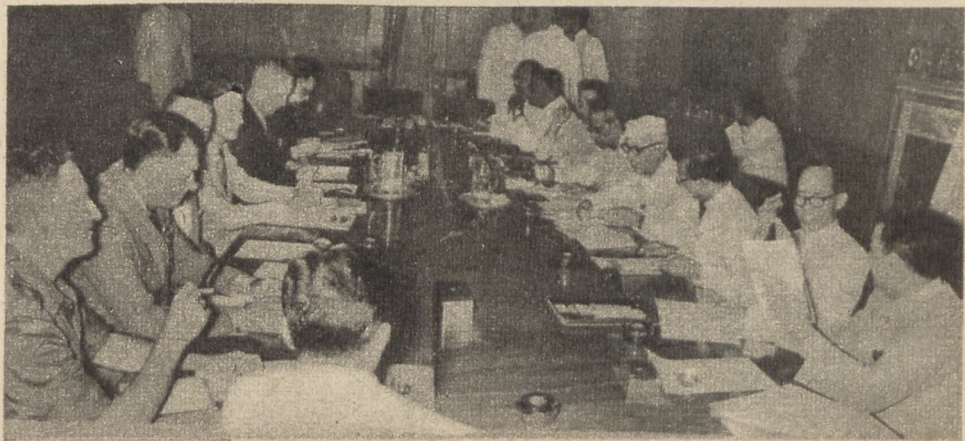
„Na rynku pochylonym ku rzece mej — Ōdrze, oddycham słowem żywym pośród braci moich” — pisał w 1937 roku Edmund Jan Osmańczyk. Zabytkowe kamieniczki opolskiego rynku legły w gruzach podczas wojny, a obecnie zostały z całym pietyzmem odbudowane w swym pierwotnym kształcie. Wśród innych odnawianych zabytków Opolszczyzny znajduje się stary młyn wodny i kościółek wiejski

KOMISJA NADZORCZA PAŃSTW NEUTRALNYCH



Keystone

W New Delhi odbyła się wstępna konferencja przedstawicieli Indii, Kanady i Polski, wchodzących w skład Komisji Międzynarodowej do Nadzorowania Rozejmu w Indochinach. Na konferencji (dolne zdjęcie) przewodniczył premier Indii Nehru, którego widzimy również (zdjęcie górne) witającego się z ambasadorem PRL w Indiach, Jerzym Grudzińskim, reprezentującym Polskę podczas tych obrad wstępnych. Przyjmując 12 sierpnia czołową grupę tej Komisji prezydent Wietnamskiej Republiki Demokratycznej, Ho Szi Min, powiedział, że rząd ludowy i armia ludowa zobowiązują się, iż będą przestrzegać uchwał konferencji genewskiej i ściśle je wykonywać. Przewodniczący tej czołowej grupy oraz towarzyszący mu przewodniczący delegacji kanadyjskiej i delegacji polskiej podziękowali Ho Szi Minowi za serdeczne przyjęcie oraz życzyli narodowi wietnamskiemu nowych sukcesów w pokojowym budownictwie



POWIADAJĄ poeci, że w krop-
li wody odbija się niebo. Bar-
dzo to poetyckie i jednocześ-
nie prawdziwe. Gdy niebo szare
i chmurne, najdrobniejsza krop-
la wody szara. Gdy niebo pogodne
i błękitne, każda kropka wody jest
lśniąca i niebieska.

Podobnie i wśród ludzi. W ży-
ciu jednego człowieka odbija się
życie całego narodu, odbija się
ustrój państwa. W życiu ludzkim
odbija się dobro i zło, społeczna
pogoda i niepogoda.

Aby o tej prawdzie przekonać
się, trzeba sięgnąć do głębi losów
ludzkich, zaznajomić się z nimi
— i wówczas wiedzieć będziemy
na pewno, że tak jest, jak powie-
dzieliśmy.

Oto redakcja organu Centralnej
Rady Związków Zawodowych —
dziennika „Głos Pracy” ogłosiła
była konkurs na opisanie, na pa-
miętnik dziesięciu lat życia w
Polsce Ludowej. Właśnie umożli-
wiono mi zapoznanie się z kilka-
ma takimi pamiętnikami. Niektó-
re są obszerne i szczegółowe,
niektóre krótkie, lakoniczne. Jed-
no najbardziej ciekawe: że bar-
dzo wielu pamiętnikarzy — chło-
pów, robotników, inteligentów —
wyszło poza ramy wyznaczonego
przez redakcję okresu czasu, co-
fając się do czasów przedwojen-
nych.

Pamiętnikarze uczynili słusznie.
Nie podobna dobrze i sprawiedli-
wie osądzić naszych czasów, na-
szego życia bez porównania z
przeszłością. Pisz o tym jeden z
pamiętnikarzy — Robert Iracki z
Kraśnika: „Na to pracowaliśmy
od wschodu do zachodu, żeby się
panom dobrze powiodło. Te cza-
sy podłe i brudne. Jak człowiek
długo żyje, tak długo w pamięci
żyć będą te czyny jaśnie panów.
Tego zapomnieć nie można i nie
zapomnę...”

OTO jedno życie człowieka w
Polsce. Wybrane na chybił
trafił. Od szóstego roku życia
Robert Iracki pracuje i jest wy-
zyskiwany. Najpierw idzie na
służbę do dworu. Tygodniowa
strawa, którą otrzymywał, skła-
dała się z bochenka czarnego
chleba, kilograma mąki, kwarty
bobru, pięciu deka słoniny. Do
tego codziennie dochodziło pół
litra mleka spod centryfugi. Gdy
praca młodzika, połączona z pra-
cą ojca, nie wystarczyła, by u-
trzymać rodzinę, do pracy poszła
i matka, co skończyło się ciężką
jej chorobą.

Wówczas ojciec Roberta jedzie
do Francji, by tam szukać swego
kawałka chleba. „Po roku pobytu
we Francji — czytamy w pa-
miętniku syna emigranta — oj-
ciec wrócił na swoją dziadowiznę,
nie nie przywożąc. Bo i skąd?
We Francji też są panowie boga-
ci, też jest biedota, wyzyskiwana
przez możnych. Jest bezrobocie...”

Tymczasem młodego Roberta
już wyrzucono z dworu i miał
się zapoznać z innym typem wy-
zyskiwacza: poszedł do bogacza
wiejskiego na pastucha: „Co-
dziennie włókłem się na pastwi-
sko z krowami. Kiszki grały mi
marsza, w ustach język wysy-
chał na wiór, bowiem kromkę
chleba otrzymywałem po przygo-
nieniu krów wieczorem”. Miał
wówczas Robert lat jedenaście.
Poznał wyzysk jednego kułaka,
potem drugiego — pana na dwu-
dziestu pięciu morgach, potem
księżowski, gdy na plebanii za

tydzień ciężkiej pracy dostaje za-
płaty — 10 złotych.

„Już wówczas” — pisze Iracki —
zaczęłam poznawać niesprawie-
dliwość społeczną. Myślałam nie-
raz nad życiem rodziców i ży-
ciem panów. Jedni pracowali od
zarania swej młodości, a drudzy
żyli w wygodach i spali na ob-
szernych łóżkach i w przestron-
nych pokojach. Żyli kosztem
swych sług. Poznałam dwa bie-
guny, gdzie na jednym bawił się
pan, a na drugim żył sługa. Jedni
w rozkoszach trawili owoce cu-
dzej pracy, a drudzy kołysali
swe smutki na drugim biegunie
wyzysku, ucisku i nędzy”.

TEN pański i kułacki pastuch,
wyrzucony z roboty za to, że
ośmielił się z głodu odciąć
plasterek słoniny w kułackiej
spiżarni, człowiek skazany przez
kapitalizm, by żył i umarł jak
jego dziad i pradziad — w nę-
dzy, głodzie i beznadziejności —
kim jest teraz? Po wyzwoleniu
Robert Iracki ukończył szkołę
podstawową. Pracuje w kolpor-
tażu książek i gazet. To go tak
pociąga, iż postanawia zostać wy-
kwalifikowanym pracownikiem
w tej dziedzinie, postanawia zo-
stać drukarzem. Kończy szkołę
graficzną i staje do pracy w Lu-
belskich Zakładach Graficznych.
Zona jego pracuje w jednej z
placówek spółdzielczych. Brat jest
komendantem posterunku milicji.
Ojciec spędza swą starość przy
dzieciach.

„Wyrażam swoją wielką dumę
— pisze Iracki — i wielką wdzię-
czność. Duma z dzieci, które mo-
gą szczęśliwie i w radości się
chować — która znaczy lata lu-
dzi pracy sukcesami, która dźwi-
ga z roku na rok wyżej. Dawniej
czytanie to była dla mnie męka.
Nikt mnie nie nauczył sięgać po
książkę. A dziś... Dziś posiadam
dużą, własną bibliotekę... Adam
Mickiewicz — „Pan Tadeusz”,
Bolesław Prus, analiza dzieł li-
terackich. A dalej: marksizm-le-
ninizm, historia ruchu robotni-
czego. To ostatnie — to wrota do
nowego, szerokiego świata, które
otworzyła przede mną Polska
Ludowa. To pierwszy krok pro-
stego parobka o ubogim kiedyś
życiu wewnętrznym w nieznaną
uprzednio krainę myśli, piękna,
prawdę”.

Oto ludzka, piękna kropka, mo-
że nawet iza wzruszenia, w któ-
rej odbija się prawda dnia dzie-
siejszego. Stara się nasz pamię-
tnikarz, jeden z wielu, jeden z
milionów podobnych ludzi w Pol-
sce, uchwycić to, co stanowi naj-
bardziej istotną siłę tej dzisiejszej
Polski! Pisz o tym prosto i mą-
drze:

„Nowa epoka dotarła więc do
członków mojej rodziny, z trud-
nościami i obietnicami, jakie z
sobą niosła, z niecierpliwością
nieziszczonych jeszcze dążeń i z
radościami marzeń już spełnio-
nych, pełna nowych spraw i
wielkich zmian. Nie zdołałbym
rozwiązać mych niedawnych jesz-
cze trudności, gdybym nie wie-
dział, że do bilansów życia ro-
botniczego w Polsce weszła no-
wa, dawniej w latach mojej mło-
dości nieznaną pozycją, pozycja,
która nazywa się perspektywą, a
która znaczy, że każdemu czło-
wiekowi pomaga dzisiaj w jego
wzroście i rozwoju Ludowa Pol-
ska...”

JAN SZELĄG

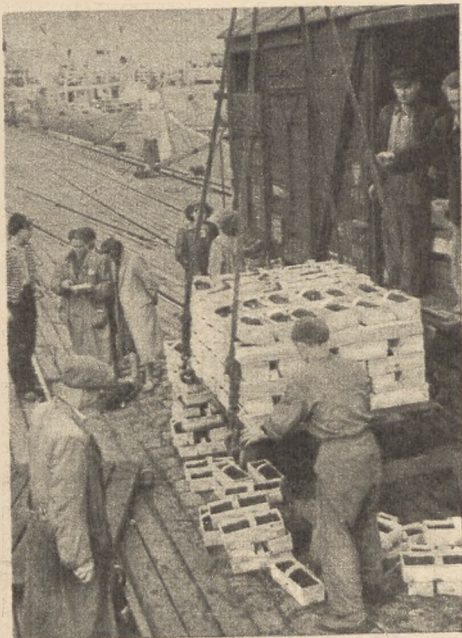
NOCNE ŻNIWA



CAF

Traktorzyści POM Nidzica woj. olsztyńskiego (na zdjęciu: Mieczysław Pałaszewski) pracowali ostatnio również i w nocy przy sprzącie zbóż na polach spółdzielni produkcyjnej „Wola Ludu”.

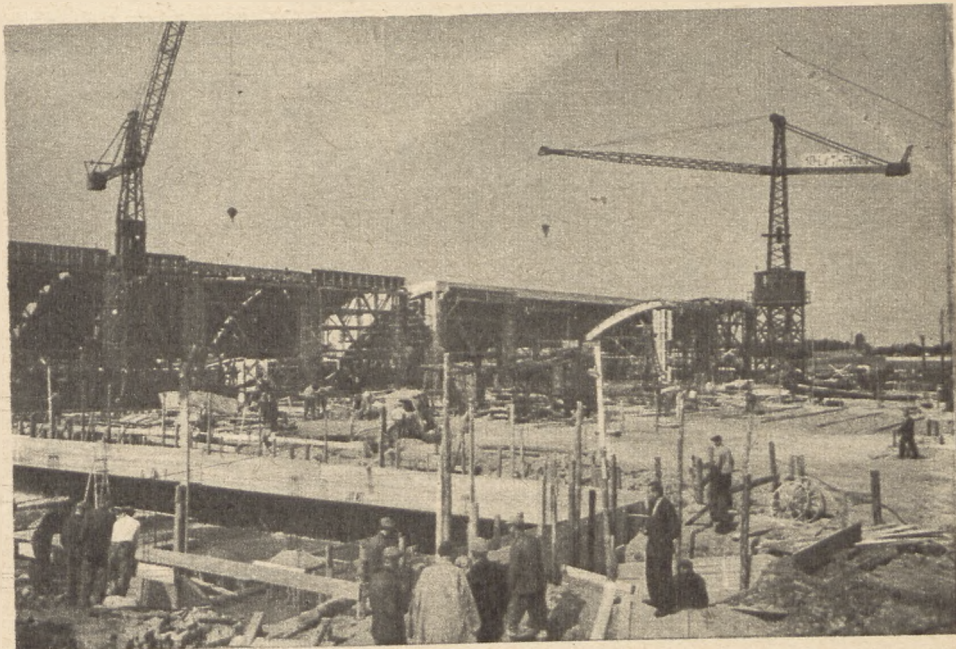
Z GDYNI – W ŚWIAT



CAF

W porcie handlowym w Gdyni przeladowywane są na statki czarne jagody z polskich lasów. Są one poszukiwanym na brytyjskim rynku surowcem do przetworów. Eksporterzy polscy dokonują poważnych wysiłków dla skrócenia drogi tego cennego produktu.

BUDOWNICTWO NA BIAŁOSTOCZYZNIE



Polska Ludowa likwiduje szybko spuściznę sanacyjnych rządów, które świadomie spychały Białostoczną do rzędu najbardziej zacofanych dzielnic kraju. Wielkie inwestycje czynione obecnie w tym województwie zmieniają poważnie jego oblicze. M. in. powstaje teraz kombinat bawełniany w miejscowości Fasty koło Białego-stoku; na zdjęciu: budowa hal przędzalni, przy której zatrudniona jest grupa majstra Pilaszka i brygada betoniarzów Romańczuka. Obiekt ten da naszemu krajowi jeszcze więcej tkanin bawełnianych dla pełniejszego zaopatrzenia ludności.

KOMU NIE W SMAK?



Keystone

Doradca prawny brytyjskich sił zbrojnych, lord Russell, ustąpił ze swego stanowiska, kiedy ministerstwo sprawiedliwości nie zgodziło się na wydanie jego książki z opisem hitlerowskich zbrodni.



Keystone

Ci ludzie (zdjęcie prawe) stłoczeni na ziemi przed policyjnymi samochodami — to marokańscy robotnicy z Port-Lyautey. Po sprowokowaniu krwawych zażść francuskie oddziały represyjne przedsięwzięły — ściśle według hitlerowskich recept — działania dla „zabezpieczenia pokoju” w tej ważnej bazie wojennej, z której korzystają także Amerykanie. W licznych „ładankach” zabrano z ulicy mężczyzn, których — dla zastraszenia ludności — popędzono do więzień. Wszystkie wejścia do miasta Fez (zdjęcie po lewej) blokowane są ostatnio przez francuską policję, która nęka spokojnych przechodniów.



Keystone

ROZWIĄZANIE UNII INDONEZJI I HOLANDII



Keystone

Poważny wylom w systemie kolonialnym południowo-wschodniej Azji stanowi rozwiązanie unii holendersko-indonezyjskiej. Dokument podpisali w Hadze: dr. Luns (z lewej) z ramienia Holandii oraz dr. Sunarjo w imieniu Indonezji. Społeczeństwo Indonezji z ogromnym zadowoleniem powitało wyniki rozmów haskich.

BRYTYJSCY LABOURZYŚCI W CHINACH



Keystone

Na zaproszenie Chińskiego Instytutu Ludowego Spraw Zagranicznych przebywa w Chinach delegacja brytyjskiej partii labourzystowskiej z b. premierem Attlee na czele. Widzimy go bezpośrednio przed odlotem z lotniska londyńskiego między dwoma innymi członkami delegacji: dr Edith Summerskill oraz Aneurin Bevanem.

FRANCUSKI SIERPIEŃ

POKOJU, NADZIEI I ZAUFANIA

FRANCIS CREMIEUX

Korespondencja własna „Świata“ z Paryża

Paryż, w sierpniu 1954 r.

PO RAZ pierwszy od siedmiu lat Francuzi wyjeżdżają na wakacje nie łamiąc sobie głowy, czy gdzieś na świecie nie wybuchnie tymczasem nowa wojna, czy ta, która już się toczy, nie zostanie rozszerzona, czy ktoś z ich bliskich nie zginie w Indochinach. W analogicznym okresie przed rokiem ucichły walki na froncie koreańskim; wielka fala protestów ze strony mas ludowych doprowadziła do uwolnienia Henri Martina. Mamy już za sobą poważny odcinek drogi wiodącej do pokoju.

Ale zabija się jeszcze, rozstrzeluje i poddaje torturom ludzi w różnych punktach kuli ziemskiej, a również i w koloniach francuskich. Nasilenie „operacji policyjnych“ w Tunisie i w Maroku nie tylko nie jest w stanie złamać działalności patriotów, lecz wprost przeciwnie, wzmacnia ich opór.

Protesty narodu francuskiego przeciwko uciskowi kolonialnemu nieustannie

wzrastają, a walka koncentruje się wokół dwóch haseł: pierwsze — to definitywne odrzucenie układu o „Europejskiej Wspólnocie Obronnej“ i drugie — zapewnienie narodom Unii Francuskiej i Afryki Północnej prawa do wolności i niepodległości.

RUCH OPORU W AFRYCE PÓŁNOCNEJ

Od chwili zawieszenia działań wojennych w Indochinach rząd premiera Mendes-France'a podjął szereg kroków takich, jak np. zwolnienie niektórych tunezyjskich więźniów politycznych, nawiązanie kontaktu z przywódcą nacjonalistycznym Bourguibą, deportowanym do Francji — które to kroki mogą stać się zapowiedzią bardziej umiarkowanej polityki w Afryce Północnej. Jednocześnie jednak rząd wysłał posiłki wojskowe do Tunisu i Maroka i dopuszcza do coraz częstszych napadów bojówek kolonialistów na ludność.

Nazajutrz po podpisaniu układów genewskich, kładących kres wojnie w Indochinach, organy finansjery francus-

kiej zaczęły publikować znamienne artykuły o „gospodarczych skutkach pokoju“. Wynika z nich jasno, że kapitałiści francuscy pragną zachować swoje wpływy w Wietnamie Północnym i gotowi są współpracować z rządem Ho Szi Mina. Nie bez znaczenia jest fakt, że akcje towarzystw, działających na terenie północnego Wietnamu, podskoczyły na giełdzie. Jeżeli dodamy do tego zapowiedź ewakuacji strefy Kanału Sueskiego przez wojska brytyjskie i obietnicę Mendes-France'a w sprawie rozwoju stosunków handlowych między Wschodem i Zachodem, dojdziemy do wniosku, że znaczna część burżuazji zaczęła otwarcie „stawiać“ na pokojowe współistnienie na całym świecie.

Doświadczenie agresji kolonialnej w Indochinach zaczyna przynosić pierwsze owoce. Najzacieklejsi kolonialiści coraz jaśniej widzą swoją bezsilność wobec walczących o wolność ludów. Próbuje jak najwięcej wytargować — czyniąc jak najmniej ustępstw, zostali zmuszeni pod naporem wydarzeń do wybrania kompromisu, który może uchronić ich od nowego Dien Bien Fu. Nie bez kozery publicysta najpoważniejszego francuskiego organu finansowego nadał swojemu artykułowi, pisanemu nazajutrz po zawarciu rozejmu, tytuł: „Siedem lat nie-szczęść... czyli koniec wyprawy krzyżowej“.

Z tej oto perspektywy należy ocenić znaczenie porażki imperializmu amerykańskiego, któremu coraz trudniej jest przekonywać kapitalistów francuskich o konieczności wyprawy antyradzieckiej.

KONSEKWENCJE ROZEJMU W INDOCHINACH

Dowód możliwości pokojowego współistnienia jest właśnie pierwszą konsekwencją podpisania rozejmu, konsekwencją, której nikt dziś nie przeczy. Gazeta „Information“, powiązana ze sferami finansowymi, ujmuje jej sens w kilku słowach: „Zaczyna się doświadczenie pokojowego współistnienia“.

MENDES-FRANCE WOBEC ZGROMADZENIA NARODOWEGO

Po powrocie z Genewy premier Mendes-France złożył sprawozdanie z działalności swego rządu deputowanym francuskim. Większością 462 głosów przeciwko 13 Zgromadzenie Narodowe zaaprobało układ o zawieszeniu działań wojennych i — co więcej — wypowiedziało się za zasadą polityki rokowani, która winna zastąpić wreszcie politykę siły i agresji, prowadzoną od siedmiu lat. Deputowani komunistyczni głosowali za rządem. Na 86 deputowanych partii MRP — 70 powstrzymało się od głosu, a 15 głosowało za rządem.

Ta historyczna sesja przypieczętowała klęskę M.R.P. i jej „amerykańsko-europejskiego“ przywódcy, Bidault. Georges Bidault wystąpił z przygotowanym przemówieniem, atakującym niezwykle gwałtownie Mendes-France'a w nadziei, że uda mu się zgrupować wokół siebie wielu reakcyjnych deputowanych. W pierwszej części przemówienia próbował bronić swojej polityki sabotowania Genewy, usiłował przekonać słuchaczy, że on sam uzyskał o wiele więcej od rządu Ho Szi Mina niż Mendes-France. Jeden konkretny argument premiera, który mu przerwał, wystarczył, aby tak skonfundować Bidault, że jakając się zebrał swoje notatki i zszedł z trybuny. Żegnały go nader skąpe oklaski kilku deputowanych jego grupy parlamentarnej.

Cała prasa francuska surowo osądza postawę Bidault. Opinia publiczna Francji zrozumiała doskonale, że szkodliwa dla Francji polityka kierowana była i

narzucana przez imperializm amerykański, którego pan Bidault był właśnie jednym z najgorliwszych współpracowników. Klasa robotnicza i jej Partia od dawna napiętnowały M.R.P. jako najbardziej złą siłę reakcji francuskiej i polityki „europejskiej“. Ocenę tę podziela teraz ogół, a prowadzi ona do odosobnienia M.R.P. zarówno w kraju jak i w Zgromadzeniu Narodowym.

Mała grupa działaczy M.R.P., związanych z masami pracującymi, odczuwa dotkliwie to odosobnienie. Ci właśnie przedstawiciele M.R.P. głosowali za rządem po powrocie Mendes-France'a z Genewy. Katolicki pisarz, Francois Mauriac, od szeregu miesięcy pisze artykuły ostro piętnujące przywódców partii Watykanu. Artykuły Mauriaca wywarły pewien wpływ na młodych działaczy M.R.P. i na część katolickich wyborców tej partii. Doszło do tego, że jeden z założycieli M.R.P., Francisque Gay, który z powodu podeszłego wieku (ma 75 lat) wycofał się z życia politycznego, chwycił za pióro, aby wystąpić jako ideolog. W cyklu artykułów, które nabrały dużego rozgłosu, ostrzega on M.R.P. przed

Powrót premiera Mendes-France z Genewy do Paryża po podpisaniu układu



GDZIE

PRZED jednym z urzędów w Waszyngtonie stoi długa kolejka. Starcy, kobiety, dzieci, mężczyźni w sile wieku, razem 159.999.999 osób. W urzędzie ta biurkiem siedzi urzędnik. Rozmowa jest krótka:

— Jestem cudzoziemskim szpiegiem, pracuję na rzecz państwa Shangri-La, mam zamiar wysadzić w powietrze Stany Zjednoczone. Proszę mnie zarejestrować.

— Doskonale. Oto formularz.

Interesant wypełnia, podpisuje, wręcza. Urzędnik sprawdza podpis, kartę tożsamości, zagląda do wykazu 160.000.000 szpiegów notowanych przez FBI. Po czym chwytta klienta za kark.

grożąca jej dekadencją i poleca „nie zawałać się przed niczym dla utrzymania jak najszerzej większości w ramach jedności narodowej, oczywiście razem z socjalistami, ale również i z tymi, którzy w parlamencie reprezentują najliczniejszy odłam robotniczy“.

Pierwszy raz od owego 1947 roku — kiedy to ministrowie komunistyczni zostali na rozkaz Waszyngtonu usunięci z rządu francuskiego — burżuazyjny polityk dopuszcza możliwość udziału komunistów w rządzie.

Faktem jest, że znaczenie Partii Komunistycznej i jej wpływ na narodowe życie Francji wzmocniły się jeszcze bardziej dzięki osiągnięciu pokoju w Wietnamie. Od siedmiu lat nieprzerwanie jedna tylko partia — Partia Komunistyczna prowadziła nieugiętą walkę o politykę rokowań. Mimo rozpętanej przeciwko komunistom fali represji, potrafili oni utrzymać się na czele narodowego ruchu walki o pokój, przyciągając doń Francuzów o najrozmaitszych poglądach.

Dwudziestego drugiego lipca Jacques Duclos, Sekretarz Komunistycznej Partii Francji, występując na olbrzymim wiecu w Paryżu przed rozentuzjanzowanymi tłumami, świętującymi podpisanie rozejmu, mógł oświadczyć: „To pierwsze zwycięstwo pociągnie za sobą następne; pod sztandarem jedności działania pójdziemy naprzód, ku lepszej przyszłości“. W swoim przemówieniu na południu Francji Duclos dodał: „Zwyciężyliśmy w bitwie o pokój w Indochinach, musimy teraz odnieść zwycięstwo w bitwie o odrzucenie „Europejskiej Wspólnoty Obronnej“.

WALKA PRZECIWKO E.W.O. I „TERMINY“ RZĄDU MENDES-FRANCE'A

W chwili uzyskania inwestytury premier Mendes-France oświadczył, że jego rząd przedstawi parlamentowi przed

o zawieszeniu broni w Indochinach. Powitanie na lotnisku Villacoublay.



15 sierpnia kompromis pomiędzy zwolennikami i przeciwnikami „Europejskiej Wspólnoty Obronnej“. Polecił dwom ministrom (Koenigowi, ministrowi Obrony Narodowej, przeciwnikowi E.W.O. i Bourgues-Maunou, ministrowi Przemysłu, zwolennikowi E.W.O.) opracowanie podstaw kompromisu.

Przeciwnicy E.W.O., a przede wszystkim komuniści i Francuski Ruch Obrońców Pokoju, stale podkreślali, że nie może być żadnego kompromisu w sprawie ponownego uzbrojenia odwetowców i że nie pójdą na żadne ustępstwa. Podczas swego ostatniego pobytu w Paryżu pan Foster Dulles wymienił premierowi Mendes-France cyfry, które przekazali mu jego agenci, a jakoby zgodnie z którymi w Zgromadzeniu Narodowym istnieje większość zwolenników E.W.O. Premier Mendes-France wykazał mu, że rzeczywistość przedstawia się zupełnie, ale to zupełnie inaczej. Od chwili natomiast podpisania układu o zawieszeniu działań wojennych, większość, złożona z przeciwników E.W.O., wzrosła jeszcze bardziej.

„Rozwiązanie zastępcze“ takie, jakiego najbardziej pragnie francuska opinia publiczna, polega na rozważeniu propozycji radzieckich, dotyczących organizacji zbiorowego bezpieczeństwa w Europie. Fakt pomyślnego wyniku rokowań w sprawie Indochin jest w oczach wszystkich Francuzów dowodem, że rokowania w sprawie Niemiec mogą zakończyć się równie pomyślnie, jeżeli będą prowadzone w tym samym duchu i jeżeli zostanie odrzucona raz na zawsze polityka siły i prowokacji, głoszona przez Stany Zjednoczone.

Reakcja rządu francuskiego na oświadczenie radiowe kanclerza Adenauera (odłożenie podróży do Bonn p. de Beaumont, sekretarza Stanu w Ministerstwie Spraw Zagranicznych) stanowi precedens, o którym nie należy zapominać.

Nazajutrz po ogłoszeniu noty radzieckiej Edward Herriot pisał na łamach dziennika brytyjskiego „Sunday Times“: „Nie wydaje mi się, żeby francuski mąż stanu, godny tej nazwy, mógł przyjąć układy o E.W.O., tak dla nas niebezpieczne a może i śmiertelne. Dlatego też wierzę, że Zgromadzenie Narodowe nie będzie głosować za tym układem“.

PRZEMOŻNA OBECNOŚĆ

Następnego dnia, po podpisaniu układu o rozejmie w Indochinach, premier Mendes-France przemawiał, jak co tydzień, przez radio. Wspominając ostatnie godziny rokowań genewskich, powiedział: „Kiedy nieoczekiwane trudności zagroziły nagle wynikom naszych wysiłków, odczuliśmy silniej niż kiedykolwiek czyjąś obecność, która żądała, nalegała, dyktowała i kierowała naszymi dyskusjami... Wola narodu, to nie są próżne słowa, nauczyło mnie tego wstrząsające doświadczenie“.

Podkreślając, że wola ludu francuskiego zaciążyła nad rokowaniami genewskimi, premier Mendes-France potwierdził, jak wielkie są możliwości ruchu obrońców pokoju w walce przeciwko E.W.O.

Wola pokoju narodu francuskiego nie ugnie się przed niczym. Dziennik amerykański „New York Times“ zdał sobie z tego sprawę pisząc 27 lipca, nazajutrz po ogłoszeniu noty radzieckiej w sprawie zbiorowego bezpieczeństwa w Europie: „Francja ma w ręku klucz do decyzji Zachodu“.



Otto John (w środku) na tarasie kawiarni „Warszawa“ w demokratycznym Berlinie

PRANIE MÓZGÓW — ALE CZYICH?..

KIEDY zaczynają mówić o praniu cudzych mózgów — znaczy, że potracili własne głowy. Tak było zawsze i tak jest teraz, w związku ze sprawą doktora Johna. Niezrównani bracia Alsop wysunęli właśnie taką koncepcję w „New York Herald Tribune“, stosując kapitalną metodę pytań. Pierwsze z nich brzmi:

„Czy doktor John zamknięty został w niedostępnym miejscu celem poddania go operacji prania mózgu? A jeśli naprawdę działał dobrowolnie, to po cóż pranie mózgu?“

Prawda, że subtelna logika? Najpierw zapytują bracia Alsop, czy doktor John ma być poddany praniu mózgu. Następnie przyjmują własne pytanie za stwierdzenie faktu i wolają tryumfalnie: skoro pranie mózgu — to znaczy, że jednak został porwany i działa pod przymusem! Dowiedli.

Tego samego w sposób równie idiotyczny dowiesć próbuje bońskie ministerstwo spraw wewnętrznych. Ofiarowano nawet pół miliona marek nagrody za „wyjaśnienie tajemnicy ucieczki doktora Johna“. Ogromnie rozrzutni panowie zasiadają w bońskim ministerstwie spraw wewnętrznych. Wyrzucają niepotrzebnie pół miliona marek w błoto. Demokratyczna „Berliner Zeitung“ ujawnia całą tajemnicę w kilkudziesięciu wierszach. Doktor John wszedł w samochód i przejechał granicę sektorów w Berlinie. To wszystko. Redakcja „Berliner Zeitung“ słusznie domaga się teraz pół miliona marek. Pragnie je przeznaczyć na pomoc dla bezrobotnych w Niemczech zachodnich.

A co do prania mózgu, zamknięcia w „niedostępnym miejscu“? Nawet amerykańskie agencje prasowe, mające więcej poczucia rzeczywistości aniżeli bracia Alsop i bońskie ministerstwo, śmieją się z tego w kulak. „United Press“ stwierdza wręcz:

„Opublikowane w Berlinie wschodnim fotografie, przedstawiające doktora Johna zwiedzającego Aleję Stalina, zdają się nie popierać tezy rządu zachodnio-niemieckiego, że John jest więźniem. Fotografie te przedstawiają doktora Johna na tarasie „Cafe Warschau“ z uśmiechem na ustach i najwyraźniej w dobrym nastroju. Osoby z Niemiec zachodnich, które dobrze znały Johna, wskazują, że fotografie te są prawdziwe i że John wygląda na nich tak jak zazwyczaj przy tego rodzaju towarzyskich okazjach“.

Tyle „United Press“. Jedną z fotografii, o których mowa, reprodukowujemy powyżej. Można się przekonać, iż amerykańska agencja ma tym razem stuprocentową rację. A może w „United Press“ odbyło się przedtem masowe pranie mózgów? A może bracia Alsop do spółki z bońskimi dygnitarzami nie są w stanie pojąć prostego faktu, wynikającego z oświadczenia doktora Johna: że po prostu nie mógł dłużej wytrzymać w hitlerowskiej atmosferze Bonn i wybrał wolność?

Oto co mówił na ten temat na konferencji prasowej w dniu 11 sierpnia r.b. w Berlinie (gdzie nb. 350 dziennikarzy z całego świata przekonało się naocznie, że dr. John nie jest „trzymany w odosobnieniu“):

„Jestem tu dlatego, że powoduje mną troska o losy narodu niemieckiego i ponieważ nigdzie na Zachodzie, z pewnością zaś nigdzie w Republice Związkowej nie otrzymałbym do dyspozycji takiej trybuny. Zbyt już daleko posunęła się naprzód w Republice Związkowej odbudowa tych sił, które ongiś doprowadziły do władzy i utrzymywały u władzy hitlerizm“.

Jeżeli panowie Alsop and Co. nie rozumieją tego, to przydałoby im się jakiegoś naprawdę gruntowne przewietrzenie mózgów. Choć, z drugiej strony, należy poważnie wątpić, czy do tak zakutych łbów w ogóle coś może dotrzeć.

Star.

JEST OSTATNI SZPIEG ?

— Mam cię ptaszku! Teraz się „wymkniesz! Szpiegostwo twoje będzie udowodnione to twoim własnym podpisem! Powodrujesz na krzesło elektryczne!

— Spodziewałem się tego. Nawet po to przyszedłem. Ale najpierw proszę mi wydać szpiegowską kartę rejestracyjną. Inaczej mój podpis nie będzie miał mocy prawnej.

— Słusznie! Oto szpiegowska karta rejestracyjna. Ale sprytnie! Unikniesz surowych kar dodatkowych za brak rejestracji. Ho, ho, jeszcze jeden dowód, że jesteś szpiegiem...

Nie, to nie kawał, to wizja najbliższej przyszłości. Oto bowiem wiadomość podana na pierwszej stronie wielkiego nowojorskie-

go dziennika „Herald Tribune“ w niedzielę, 11 lipca 1954:

„Wszyscy cudzoziemscy szpiedzy i sabotażyści muszą się rejestrować w urzędach państwowych w myśl ustawy uchwalonej przez Izbę na wniosek rządu. Rzecz wydaje się prosta. Ale chwyt na tym polega, że w razie złapania grożą teraz szpiegom surowe kary za niedopełnienie rejestracji. A swoją drogą istnieje kara śmierci za udowodnione szpiegostwo...“

I jeszcze jedno. Na podstawie oświadczeń szefa FBI, Mr. Edgara Hoovera, łatwo obliczyć, że w USA działa obecnie 160.000.000 szpiegów. Czytelnik może się zdziwić, że w kolejce zabrakło jednego. To właśnie urzędnik rejestracyjny.

j. st.

NEW YORK Herald Tribune

SUNDAY, JULY 11, 1954

SPIES, SABOTEURS MUST REGISTER

ALL FOREIGN SPIES AND SABOTEURS must register with the government under a House-passed Administration bill. It seems a simple act, but the catch is that if they're caught, they face heavy penalties for non-registration. There is a death penalty for conviction of espionage, first such law in peace-time U. S. history. Senate is expected to pass it.

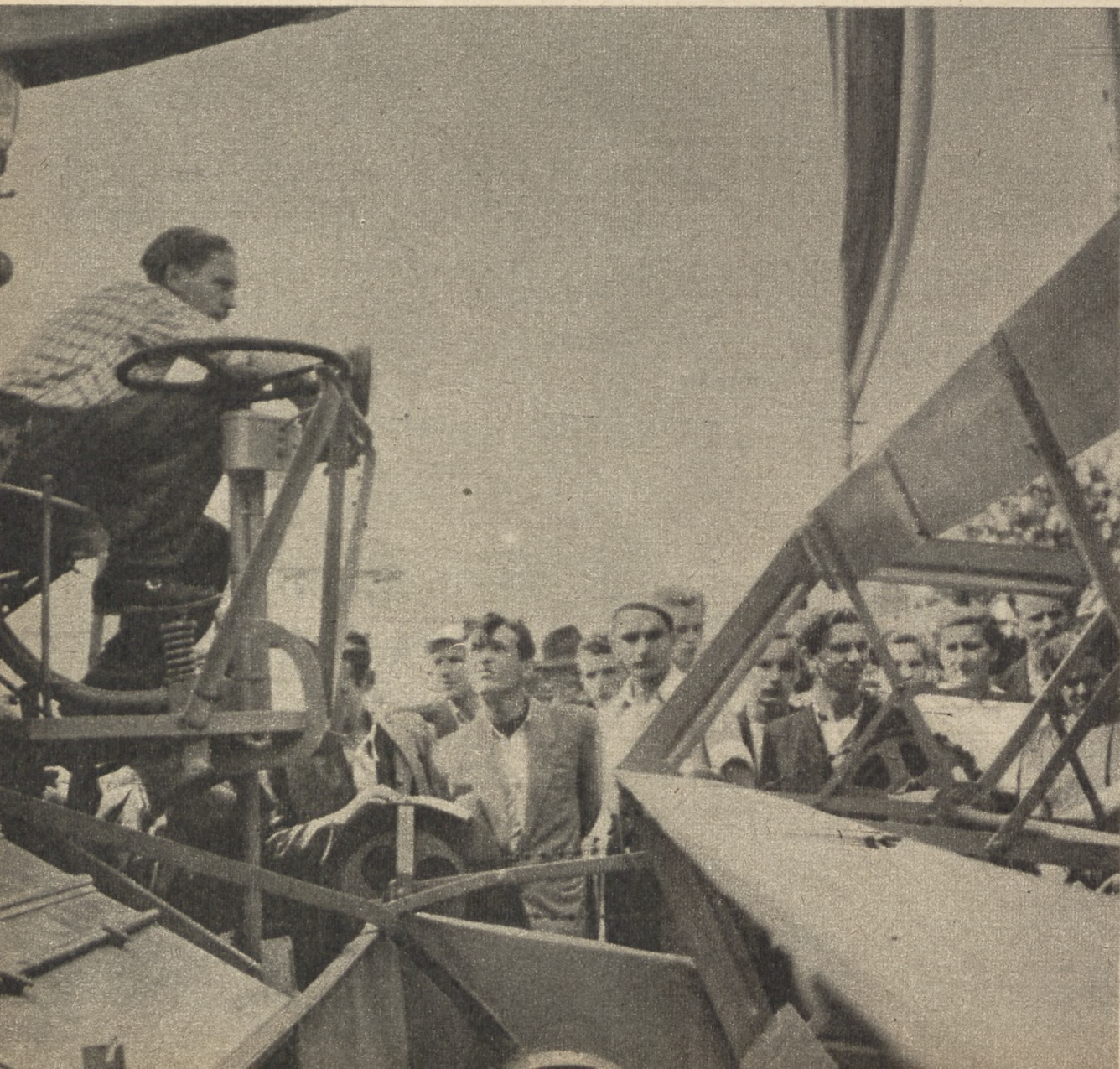


W Zamku Lubelskim oraz na pobliskich terenach czynna jest od 22 lipca Centralna Wystawa Rolnicza. O popularności tej wystawy świadczy fakt, że zwiedzają ją codziennie tysiące osób z całego kraju, w tym większość chłopów. Zwiedzający oprowadzani są przez przewodników, którzy równocześnie udzielają porad rolniczych

ROLNICZA „Zachęta”

Zdjęcia: JAN KOSIDOWSKI

A teraz zapoznajmy się z działaniem kombajnu zbożowego. Stoisko maszyn rolniczych wzbudza najczęściej zainteresowania — wiadomo, że mechanizacja to przyszłość rolnictwa. Padają setki pytań dotyczących obsługi maszyn



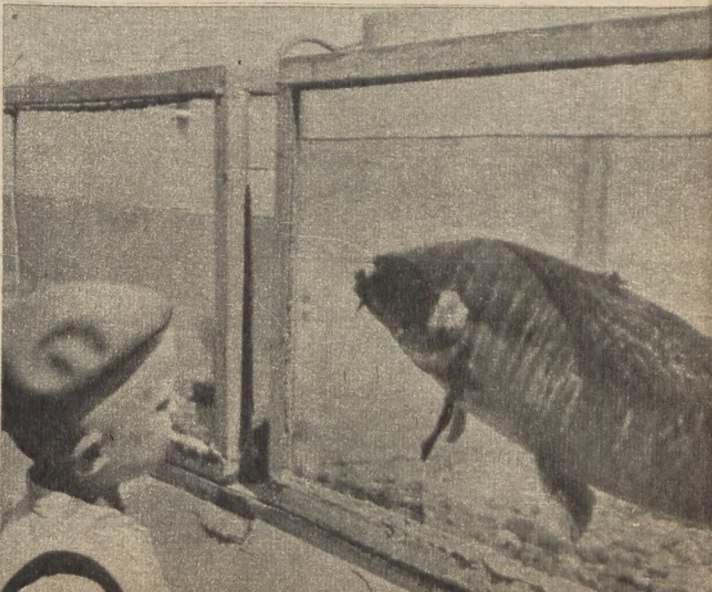
NIEMAŁO po wojnie urządzaliśmy wystaw. Wielkich, imponujących, nacechowanych rozmachem i pomysłowością. Niekture przewyższały może Centralną Wystawę Dziesięciolecia obszarem pawilonów czy koncepcjami graficznymi; wystawa lubelska wniosła jednakowoż pewien element nowy i tak pożyteczny, że warto nad nim przez chwilę tutaj się zatrzymać.

Impreza lubelska — to nie tylko plansze, ekspozyty, statystyki, dokumenty, sztandary powiewające odświeżniętą muzyką z megafonów; jest to przede wszystkim wystawa-poradnik dla rolników, wystawa-instruktaż, wystawa-zachęta, czy jak to nazwać najtrafniej. Tak ją zorganizowano, i uczyniono słusznie. Zaraz wytłumaczymy dokładniej, o co nam chodzi.

Znaczna część zwiedzających to chłopci: ze spółdzielni produkcyjnych i gospodarze indywidualni. Zjeżdżają z dalekich wsi młodzi i wścazy, zaintrygowani, często sceptyczni, czasem wręcz nieufni, szukający konkretnych odpowiedzi na gnębiące ich pytania.

Z Zamku, gdzie mieści się część ogólna, wychodzą najczęściej trochę rozczarowani.

Dla każdego — coś miłego. Przyszły rybak interesuje się imponującymi okazami, wyhodowanymi przez PGR-y



„WYSTAWA LUBELSKA”... SPRZED STU LAT

Wertując stare roczniki „Tygodnika Ilustrowanego” z końca wieku XIX i z początków bieżącego stulecia, natknęliśmy się na ciekawą wzmiankę. Otóż wspomniane pismo (w numerze z dnia 22 czerwca 1901 roku) zamieściło artykuł z dwiema ilustracjami, dotyczący otwartej w końcu sierpnia roku 1860 „rolniczej” wystawy w Lublinie.

Cóż to była za wielka wystawa, jeśli po czterdziestu latach doczekała się wzmianki w „Tygodniku Ilustrowanym”?

Odpowiedź na to pytanie daje tak zarówno treść artykułu, jak i ilustracje. Był to właściwie... jeden wielki raut ziemiaństwa. Każdy „dobrze urodzony” przybywał na wystawę, aby pochwalić się szybszym koniem, ładniejszym powozem, zręczniejszym stangretem. A chłopci? Chłopi nie mieli z wystawą oczywiście nic wspólnego. Imprezę tę zorganizowało ziemiaństwo dla ziemiaństwa — pod laskawym okiem okupacyjnych władz carskich w kraju „prywiślańskim”.

Równocześnie reprodukuje ilustracje, o których wspomnieliśmy. Jedna przedstawia rozdanie nagród już po wystawie, druga — samo wejście na „Wystawę Płodów Rolniczych” (bo tak się to oficjalnie nazywało), mieszczącą się w gmachu lubelskiego gimnazjum gubernialnego. Na ilustracji widać wyraźnie krynoliny wytwornych pań oraz sylwetki majątnych panów w cylindrach — pieszko lub w powozach. Panów uczestniczących w onej wystawie nie obchodziło na ogół nic poza sprawami własnego majątku, zysku, własnej kieszeni. Z tej „równowagi duchowej” nie wytrąciło ich też, jak wiadomo, powstanie styczniowe, które wybuchło zaledwie w trzy lata później...

Opr. J. G.

W tym pawilonie chłopci dowiedzą się, w jaki sposób najskuteczniej zwalczać stonkę, mszyce i inne szkodniki. Przewodnik demonstruje różne metody użycia środków chemicznych, uwzględniając przy tym właściwości terenowe

— Tu wszystko na papierze — powiadają. Warto było to się tłuc tyle kilometrów pociągami, żeby zobaczyć parę cyfr i zdjęć? Dokumenty, hasła — papiery, papiery... Nie po to przyjechali...

Lecz sprawa przybiera zgoła inny obrót po opuszczeniu Zamku, już przy pierwszym stoisku maszyn rolniczych. Stają w zadziwieniu przed uszykowanymi jak na defiladę traktorami, kombajnami, kultywatorami, siewnikami rzędowymi, kopaczkami kartofli, buraków — mechanizmami, które niejeden widzi po raz pierwszy w życiu.

Tutaj bierze zwiedzających w swoje posiadanie pierwszy na tej wystawie przewodnik-instruktor. Skacze na maszynę, uruchamia ją z hukiem i tłumaczy, ile pracy ręcznej (chłopi wiedzą jak bardzo ciężkiej) zaoszczędza ta, na przykład, sadzarka lub tamta kopaczka. Padają pierwsze pytania, nieśmiałe, ale konkretne, wnikliwe i tak fachowe, że laik niewiele z tego rozumie. Czy maszyna nie obcina buraków za nisko? Czy wybierając kartofle odsiewa równocześnie kamienie? Na jakie gleby jest ten siewnik najlepszy?

Przewodnik opowiada, tłumaczy, dzieli się doświadczeniami — sam jest rolnikiem. Chłopi w milczeniu zapalają papierosy, ale szczególny błysk w ich oczach mówi bardzo wiele.

Zadumanych „bierze w objęcia” następny przewodnik: patrzcie, tu są zdjęcia ze spółdzielni produkcyjnych. Tam pracują tylko maszynami. Zarabiają tyle a tyle dniówek. Skąd jesteście? Z Rzeszowa? Wybierzcie się więc z wycieczką do tej na przykład spółdzielni i sprawdźcie wszystko sami na miejscu. A teraz proszę: kolega poprowadzi was na wzorowe półka, tu niedaleko.

Kolega prowadzi na pola lucerny, rzepaku, jęczmienia. Rośliny są piękne, a przewodnik mniej może niezbędny niż gdzie indziej, albowiem na każdej działce wisi na tablicy „przepis użycia”: w roku 1953 — była pszenica, w 1954 — są buraki, w 1955 — będzie jęczmień. Krótki a zwięzły wykład o plodozmianie.

W następnej chwili kolejny przewodnik przejmuje grupę, prowadzi ją do pawilonu nasiennictwa i zaczyna od sakramentalnego na tej wystawie pytania: Skąd jesteście? Z Pomorza? W porządku: najlepiej udaje się u was kukurydza „Dar Północy” albo „Czerwony Korral”. Kukurydza jest towarem pokupnym. Patrzcie, w tej gablocie jest 600 różnych artykułów przemysłowych, wyrabianych z kukurydzy — od spirytusu aż do grzebienia... Kukurydza musi być przekonująca, gdyż kobiety (przybyły tu także) chciałyby wziąć trochę w celu przetworzenia na prawdziwe korale.

A dalej: warzywnictwo, leśnictwo, rybolówstwo — dla każdego coś milego. Coraz to nowi przewodnicy, nowe przykłady, nowe instrukcje, „sposoby użycia”, informacje historyczne, pytania i wyjaśnienia, wiele mówiące chrząkania gospodarzy: „No, no, no...”, albo zapowiedzi wręcz: „Tak, to zaprowadzimy, to zrobimy u siebie”...

Przewodnik na zakończenie wykładu wręcza każdemu instruktażowe ulotki. Można się z nich nawet dowiedzieć ile lat plonuje kostrzewa czerwona krzaczasta, gdzie należy zasiać wyczyniec łakowy, jakie plony osiągnął w tym zakresie Instytut Zootechniki w Pawłowicach — itd. itd.

I w ten sposób wystawa lubelska uczy, przekonuje, przemawia nie tylko eksponatami, ale żywym słowem produjących rolników, czasem używa słów może zbyt trudnych, jak „rejonizacja, fizjografia”, zawsze jednak swoim chłopskim „klientom” ukazuje nowe perspektywy, objaśnia, że nasze rolnictwo wiele już osiągnęło, lecz możliwości ma jeszcze znacznie większe, i wskazuje, w jaki sposób chłopci powinni je wykorzystać. Na tym polega, naszym zdaniem, szczęśliwe n o v u m Wystawy Rolniczej. Jest ono tak ważne i istotne, że usuwa na drugi plan niefortunne ulokowanie niektórych stoisk w kazamatkach zamkowej baszty, gdzie trudno dotrzeć, a później cokolwiek zobaczyć.

A.

Proszę, taką welnę daje ta cakiel. Góral-hodowca radzi szczerze: zaprowadźcie u siebie ten właśnie gatunek owiec. Na wystawie możemy obejrzeć niejedną żywą eksponat: okazy bydła i trzody chlewnej — z wzorowych hodowli...



FERENTARI

CZYLI

BUKARESZTEŃSKI MURANÓW

Zakurzona podmiejska szosa, puste place, z rzadka porozrzucane odrapane domki — tak wyglądała dzielnica Ferentari przed dziesięciu laty. Dziś jest to pierwsze nowoczesne osiedle bukareszteńskich robotników. W komfortowych blokach mieszka już przeszło tysiąc rodzin, na miejscu znajdują się sklepy i zakłady usługowe, żłobek i przedszkole, szkoła i biblioteka. Tam, gdzie dawniej biegła szosa, ciągnie się szeroki, zadrzewiony bulwar, dochodzący do samego śródmieścia Bukaresztu. Linia tramwajowa łączy osiedle Ferentari z miastem.

Ferentari jest pierwszym nowoczesnym osiedlem robotniczym Bukaresztu, które w przyszłości otoczą stolicę Rumunii szerokim pierścieniem.



Sobotnie popołudnie. Dwie dziewczyny z mieszkania o ukwieconym balkonie nie znają jeszcze nowego młodego sąsiada, ale mandolina zaprasza do wspólnego spaceru...



Jechać do miasta — po co? Tu, w Ferentari, można się zaopatrzyć we wszystko, czego podniebienie zapragnie



Można też w miejscowym salonie fryzjerskim zrobić sobie manicure, trwałą ondulację, modnie się uczesać...

TAK WYGLĄDA FRAGMENT NOWEJ BUKARESZTEŃSKIEJ DZIELNICY MIESZKANIOWEJ FERENTARI.



Z tych trzech mieszkańców Ferentari najmłodszy, na zdjęciu w środku, urodził się już w nowej dzielnicy

Na razie książki kupuje się w kiosku z gazetami. Niedługo osiedle otrzyma także własną księgarnię



WSPANIAŁE ZWYCIĘSTWO

Napisał: MARK TWAIN

Przekład: JÓZEFA BRODZKIEGO

O TYM wstrząsającym wydarzeniu świat dowiedział się w ubiegłym piątek. Rząd w Waszyngtonie został o nim powiadomiony oficjalnym komunikatem przesłanym telegraficznie przez Główną Kwaterę amerykańskich sił zbrojnych na Filipinach.

Oto na czym polegała cała sprawa:

Szczep ciemnoskórych tubylców z plemienia „Moro” — głosił meldunek ze sztabu generała Leonarda Wooda — zabarykadował się w kraterze wygasłego wulkanu w pobliżu Joło. Wskutek tego, że tubylcy byli wrogo usposobieni wobec nas za to, że w przeciągu ośmiu lat usiłowaliśmy pozbawić ich wolności, Kwaterna Główna doszła do wniosku, że pozostawienie owych tubylców w kraterze wulkanu stanowi groźbę dla nas. Głównodowodzący siłami zbrojnymi, generał Leonard Wood, wysłał tam zwiadówców, którzy ustalili, że tubylców wraz z kobietami i dziećmi jest tam około sześciuset oraz że krawędź krateru leży na wysokości dwóch tysięcy dwustu stóp nad poziomem morza.

Dotarcie do owego punktu wraz z artylerią następczo więc wiele trudności naszym walczącym oddziałom. Wszakże generał wydał rozkaz zaatakowania tubylców zniechęca i osobiście udał się wraz ze swym sztabem, by zapewnić powodzenie wspomnianej operacji. Oddziały naszej piechoty, wspomagane kilkoma oddziałami górskimi, wspiwały się bocznymi ścieżkami, niezmiernie trudnymi do przebycia.

Zbliżywszy się do samej krawędzi krateru oddziały rozpoczęły bój. Z naszej strony w bitwie brało udział 540 żołnierzy, wspomaganych ponadto przez oddziały miejscowej policji, znajdujące się pod naszymi rozkazami (w meldunku nie wymieniono liczebności tej „policji”) oraz przez oddział piechoty morskiej (również o nie ustalonej liczebności). Można jednak przypuścić, że siły były równe: sześćset żołnierzy nad kraterem i sześćset mężczyzn, kobiet i dzieci na jego dnie. Głębokość krateru wynosiła około 50 stóp.

Rozkaz generała Wooda brzmiał: „Zabić lub wziąć do niewoli sześciuset tubylców”.

...Rozgorzała bitwa. (Tak oficjalnie nazwano to, co się później stało). Nasi żołnierze dali ognia z dział do ludzi zgromadzonych na dnie krateru. Jednocześnie zaczęto strzelać z karabinów i pistoletów. Tubylcy stawiali zacięty opór. Zapewne rzucali odłamkami kamieni — zresztą jest to jedynie domysł z mojej strony, gdyż w meldunku nie zostało wspomniane, jaką bronią rozporządzali tubylcy. Dotychczas wspomniany szczep był uzbrojony przeważnie w dzidy lub maczugi i jedynie w wyjątkowych wypadkach udawało mu się zdobyć stare, skałkowe muszkiety.

Oficjalny komunikat stwierdza następnie, iż przeciwna strona walczyła zacięciem w ciągu dwóch i pół dnia oraz że bitwa zakończyła się całkowitym zwycięstwem oręża amerykańskiego.

Następująca okoliczność potwierdza, iż istotnie zwycięstwo było całkowite: z sześciuset tubylców ani jeden nie pozostał przy życiu. Było to wspaniałe zwycięstwo, o czym ponadto świadczą jeszcze jeden szczegół. Z sześciuset naszych bohaterów żołnierzy poległo zaledwie piętnastu.

Generał Wood był obecny i obserwował przebieg bitwy. Rozkaz jego — jak już wspomnieliśmy — brzmiał: „Zabić lub wziąć do niewoli tych dzikusów...”

Jest rzeczą oczywistą, że żołnierze znakomitego dowódcy, jakim jest gen. Leonard Wood, dopatryli się w tym rozkazie zezwolenia na postępowanie według własnego upodobania, czyli: albo zabijając, albo brać do niewoli. Wobec tego zaś, że upodobania naszych bohaterów żołnierzy w tych okupowanych krajach pozostają te same od ośmiu lat, więc... nie było powodu, by mieli je zmieniać w tym właśnie wypadku...

Komunikat oficjalny, jak się należało spodziewać, we wzniosłych wyrazach podnosi i sławi takie żołnierskie cnoty, jak „męstwo” i „waleczność” naszych bohaterów, oraz oddaje hołd pamięci piętnastu poległych. Dużo miejsca zajmuje również relacja o trzydziestu dwóch rannych.

Meldunek szczegółowo — zapewne celem przekazania tych danych historykom amerykańskim — opisuje charakter ran owych trzydziestu dwóch walecznych żołnierzy. Wspomniany jest więc — z wymienieniem naz-

W „Wyspie Pingwinów” Anatol France każe swemu bohaterowi asystować wraz z tłumaczem w posiedzeniu Kongresu. Bohater nie wierzy własnym uszom, kiedy przewodniczący Kongresu wylicza wojny, jakie kraj jego rozpętał dla uzyskania rynków zbytu. Tłumacz szybko wyjaśnia, że tak jest istotnie: „Kiedy któraś z gałęzi naszego przemysłu nie znajduje zbytu na swe towary, trzeba wojnę otworzyć nowe rynki. Mielśmy więc w tym roku wojnę węglową, wojnę miedzianą i wojnę bawełnianą. Nu Trzeciej Zelandii zabiliśmy dwie trzecie ludności, aby zmusić pozostałych przy życiu mieszkańców do kupowania u nas parasoli i szelek”. Obecnie, gdy Stany Zjednoczone właśnie za-

kończyły „wojnę owocową” w Gwatemali, nie od rzeczy będzie przypomnieć to, co miał do powiedzenia o metodach swych rodaków pewien Amerykanin, nazwiskiem Samuel Langhorne Clemens (1835—1910), który wszedł do literatury światowej pod pseudonimem: Mark Twain. Jego opowiadanie „Wspaniałe zwycięstwo” wprowadzi — jak sądzimy — naszych Czytelników w klimat umysłowy najeźdźców Kuby, Filipin czy Gwatemali. I niech nam będzie wolno przypomnieć jeszcze jedną „złotą myśl” genialnego humorysty amerykańskiego: „Można by było niezawodnie udowodnić faktami i liczbami, że nie istnieje żadne wyraźne przestępstwo środowisko w Ameryce — prócz Kongresu”.

wiska — pewien szeregowiec, który uległ podrapaniu łokcia, inny — podrapaniu nosa, przy czym jego nazwisko również zostało wymienione w telegraficznie przesłanym meldunku (półtora dolara za wyraz!).

Następnego dnia informacje w prasie amerykańskiej potwierdziły to, co zostało powiedziane w przededniu. Ponownie wyliczono nazwiska piętnastu poległych i trzydziestu dwóch rannych, ponownie opisane zostały rany, jakie odnieśli — przy czym wszystko zostało przyozdobione odpowiednimi epitetami.

...Liczebność przeciwnika amerykańskie dowództwo sił zbrojnych obliczyło przed bitwą na sześćset osób — włączając w to kobiety i dzieci. Nasi waleczni żołnierze wycieli w pień wszystkich bez wyjątku, nie zostawiając nawet niemowląt, by mogły oplakać zgon swych karmicielek...



Oceniając należycie wyczyny amerykańskich kolonizatorów Mark Twain powiedział, że flaga USA powinna być przerobiona, a mianowicie należy „białe pasy pomalować na czarno, zaś gwiazdy zastąpić czaszkami i piszczelami”. Na zdjęciu: amerykańscy żołnierze i cywile nad stosem kości swych ofiar na cmentarzu po kampanii na Filipinach.

Było to niewątpliwie największe zwycięstwo, jakie kiedykolwiek odnieśli waleczni żołnierze Stanów Zjednoczonych.

Jaki oddźwięk znalazły te wydarzenia w naszym społeczeństwie? Znalazły one należne odbicie w sensacyjnych tytułach, jakimi prasa amerykańska obdarzyła wspomniane wypadki.

Zwłaszcza sensacyjnie brzmiał następujący tytuł, wydrukowany ogromnymi czcionkami:

**WYBUCH NIEPRZYJACIELSKIEGO POCISKU
WYRYWA Z SZEREGÓW BOHATERSKIEGO
DOWÓDCĘ PORUCZNIKA JOHNSTONA!!!**

We wszystkich wojennych relacjach pełno było o tym poruczniku Johnstone. (Przypomniało mi to pewną farsę pt. „Gdzie spojrzeć — wszędzie Johnston!”). Wyglądało na to, że ów Johnston jest jedynym rannym, o którym w ogóle warto pisać.

Ale jak to właściwie było z tym „bohaterskim” Johnstone?

Johnston był ranny w ramię odłamkiem. Oczywiście rzecz, że ów odłamek musiał stanowić część jakiegoś pocisku. W komunikacie jest mowa o tym, że „wybuch

nieprzyjacielskiego pocisku wyrwał z szeregów” itd. O ile mi wiadomo, tubylcy nie mieli w owym kraterze żadnej artylerii, inaczej komunikat byłby bodaj wspominał o tym — przynajmniej po to, by się jeszcze bardziej pochwalić.

Czyli: faktem nie dającym się zaprzeczyć jest — że... jedyny amerykański oficer, który odniósł ranę, zasługującą na podobny rozgłos, ucierpił z rąk własnych walecznych towarzyszy broni, nie zaś z rąk wroga!

Nasuwa mi się przy tym pewne przypuszczenie; gdybyśmy ukryli naszych żołnierzy w bezpiecznym miejscu przed naszą własną artylerią, mogliśmy wyjść z tej niezwykłej bitwy bez najmniejszego zdraśnięcia...

W niedzielę, czyli wczoraj, telegraf przyniósł nowe wiadomości, jeszcze wspanialsze od poprzednich i okrywające nasz gwiazdzysty sztandar jeszcze większą sławą.

Już pierwsze tytuły na czołowej kolumnie miejscowych pism ogłosiły czytelników następującą sensacyjną informacją:

Szczep „Moro” wycięty w pień!

Owszem, wyraz „wycięty” został użyty właściwie — była to bowiem zwykła masakra.

Następny tytuł głosił:

**„Na dnie krateru ukryły się wraz z wojownikami
kobiety i dzieci”.**

Dalsze tytuły potwierdzają przypuszczenie, że naszym „dziarskim chłopcom” nie groziło jednak zbyt wielkie niebezpieczeństwo, bo oto co czytamy w jednym z nagłówków:

**„Krwawa bitwa na szczycie góry Joło! Kobiety nie
można było odróżnić od mężczyzn”!**

Jest to jak najbardziej zrozumiałe: tubylcy ukryli się tak daleko na dnie krateru, że nasi waleczni żołnierze nie byli w stanie odróżnić kobiet i dzieci od wojowników ze szczepu „Moro”...

Artykuły w pismach nazywają te wypadki: „bitwą”. Była to niewątpliwie jedna z najmniej niebezpiecznych i ryzykownych bitew, jaką kiedykolwiek stoczyli „waleczni żołnierze” któregośkolwiek narodu... przywołującego Wszechmocnego, by udzielił pomocy jego orężowi.

Jeszcze jeden szczegół godny zanotowania:

Kiedy ta „bitwa” została zakończona, na miejscu pozostało około dwustu rannych tubylców. Co się z nimi stało? Jaki spotkał ich los? Przecież żaden z nich nie pozostał przy życiu.

Żołnierze gen. Wooda, który osobiście „obserwował” całą operację, dodając ducha swym „walecznym chłopcom” — należycie zrozumieli jego rozkaz i dzieło zwycięstwa zostało doprowadzone do końca.

Prezydent Theodor Roosevelt telegraficznie gratulował generałowi Woodowi „sukcesu”, wyrażając przy tym bezgraniczną radość z powodu udzielenia tak wspaniałego i błyskawicznego zwycięstwa.

Przypominam sobie, że podobna „bezgraniczna radość” prezydentów Stanów Zjednoczonych nie jest faktem odosobnionym. Oto w 1901 r., kiedy do Waszyngtonu nadeszła wiadomość, iż pułkownik Funston zdołał wziąć do niewoli filipińskiego patriotę i przywódcę powstańców, bohatera narodowego — Aginaldo, co uczynił drogą złamania słowa honoru, wiarołomstwa, zdrady, oszustw, ściskania rąk powstańcom i strzelania po chwili do nich — kiedy, jak powiadam, w „Białym Domu” otrzymano telegram o tym „wspaniałym zwycięstwie”, prezydent McKinley, bardzo zresztą sympatyczny, dobroduszny itd. „wybraniec narodu”, nie umiał powściągnąć wybuchu radości i wykonał kilka ruchów przypominających pewien taniec, noszący nazwę „dzig”...



"AZ ODZYSKASZ GDAŃSK"

Napisał: MIROSŁAW AZEMBSKI

Zdjęcia: W. PRAŻUCH

W 500-ną ROCZNICĘ WYZWOLENIA GDAŃSKA

SZEDŁ SOBIE niedawno ulicą Ogarną sędziwy wózny z Miastoprojektu i zauważył naraz, że dwaj robotnicy, zajęci przy usuwaniu gruzów, taszczą jakiś kamień o szczególnym kształcie. „Wstrzymajcie się chwilę — powiedział do nich — nie wywożcie tego razem z gruzem, trzeba się zastanowić, co to może być...”

Zawiadomił profesorów i okazało się, że są to żarna z XII wieku. Taki jest właśnie Gdańsk; historia leży tam na ulicy, trzeba ją tylko umieć podnieść...

Gdy przybyłem do Gdańska, miałem jedyny zamiar: z okazji 500-lecia wyzwolenia tego niezwykłego miasta z krzyżackiego jarzma napisać coś niecoś o jego odbudowie, o aktualnym wyglądzie i prognozach na przyszły rozwój. Przeszłość, historia — zawsze tak mi się zdawało — nie powinny zbyt mocno absorbować reportera; jego rzeczą jest raczej opisywać tylko te wydarzenia, w których uczestniczy jako świadek. Ale w Gdańsku ta teoria nie wytrzymała próby. Szedłem ulicą i „potknąłem się” o historię, tak jak ów wózny z Miastoprojektu. Zadałem moim przewodnikom nieostrożne pytanie: „Opowiedzcie, co działo się tutaj przed 500 laty?”

Opowiedzieli, oprowadzili po pamiętnych miejscach. I to wystarczyło. Przez kilka dni nie mogłem się wygrzebać ze stosów książek, manuskryptów, sztychów, dokumentów. Dzieje Gdańska potrafią opanować umysł nie gorzej niż hazard czy mania kolekcjonerska. Wszystko przepadło: nie będzie to reportaż, a głównie relacja z przeszłości...

LANDMISTRZ VON PLOTZKE ZDOBYWA MIASTO

Niepozorny jest dzisiaj ten placik pagórkowaty, porośnięty chwastami i murawą. Nie przetrwały żadne majestatyczne ruiny — o! po prostu, za gazownią miejską rozciąga się coś w rodzaju zaniedbanego boiska.

W roku 1308 wznosił się na tym miejscu gród gdański, a starosta królewski pan Bogusza bronił go przed chmarami nacierających Brandenburczyków. Ci, po zajęciu Sławna i Słupska, postanowili jeszcze pomnożyć swoje zdobycze o ów centralny port Bałtyku, miasto coraz lepiej prosperujące z racji swego położenia i przedsiębiorczości mieszkańców.

Bogusza był żołnierzem dobrym, ale wojsko miał nieliczne i na żadną odsiecz nie mógł liczyć. Podczas ostatniego spotkania z Lokietkiem usłyszał mało pocieszające słowa: — W razie ataku broń się jak możesz, w ostateczności zwróć się o pomoc do Krzyżaków... Lokietek w tym czasie musiał, niestety, parć się w Małopolsce z możnowładcami, utrzymywać swoją władzę tam, w Krakowie...

Przetrwały do dzisiaj wiadomości, że do tego ostatecznego, a tak ryzykownego kroku nakłonił Boguszę przeor Dominikanów gdańskich. Kim był ów przeor? Zdrajcą? Wzorem naiwności? Któż to wie...

Tak czy inaczej Bogusza Krzyżaków wezwał, gdy załoga grodu zaczęła przymierać głodem. Poważny zastęp kawalerów krzyżowych pod wodzą Gunthera von Schwarzburg przeprawił się przez Motławę i urządził coś w rodzaju demonstracji militarnej. Brandenburczycy z niemalym przerażeniem patrzyli na tych drabów, okutych od stóp do głów w żelazo, karnych, sprawnych, znających znacznie lepiej sposoby potykania się w polu niż Biblię świętą. I skorzystawszy z pierwszej okazji zrejterowali, zadowolając się Sławnem i Słupskiem.

Krzyżacy tymczasem roztasowali się w grodzie (położonym tuż obok ufortyfikowanego miasta), dając do zrozumienia załozce polskiej, wynędniałej i porządnie posiekanej, że lepiej będzie, jeśli się stąd wyniesie. Nasi rycerze coś niecoś już o Krzyżakach wiedzieli: sami byli przekonani, że to będzie bezpieczniejsze — i wycofali się do miasta.

Miasto Gdańsk, w owym czasie otoczone własnymi murami, zamknęło się na trzy spusty, gotowe przez długi czas opierać się ewentualnym zakusom krzyżackim. Alisci sytuacja wewnętrzna była nienajlepsza. Patrycjat, w większości swojej niemiecki, miał już niejaki plany wobec wojowniczych zakonników. Kto skutecznie potrafił zaprowadzić „porządek”, zapewnić opiekę kupcom niż ci, nie patyczkujący się z nikim, bractwów? A handel — to grunt. Ciemną nocą 14 listopada 1309 roku otwarli potajemnie bramy miejskie i wpuścili Krzyżaków do wnętrza.

Ta noc dantejska! Historycy do dnia dzisiejszego nie potrafią dorachować się liczby trupów: jedni oceniają ją na kilka, inni nawet na dziesięć tysięcy! Niedawny „sojusznik” z obnażoną bronią skoczył do domów, gdzie budzili się z twardego snu polscy rycerze. Wielu nie zdążyło podnieść się z łóża, nieliczni zbiegli do kościołów i tam przez pewien czas stawiali rozpaczliwy, beznadziejny opór. Uporawszy się z nimi, Krzyżacy poczęli wyrzynąć polskich mieszczan, dalej kobiety, dzieci, każdego, kto wpadł pod rękę. Obłęd mordu ogarnął ich tak dalece, że mieli szczerzy zamiar ubić nawet opata z Oliwy, który przybył świtem spowiadać konających.

Takim oto sposobem landmistrz von Płotzke i jego pobożni współbracia zdobyli Gdańsk.

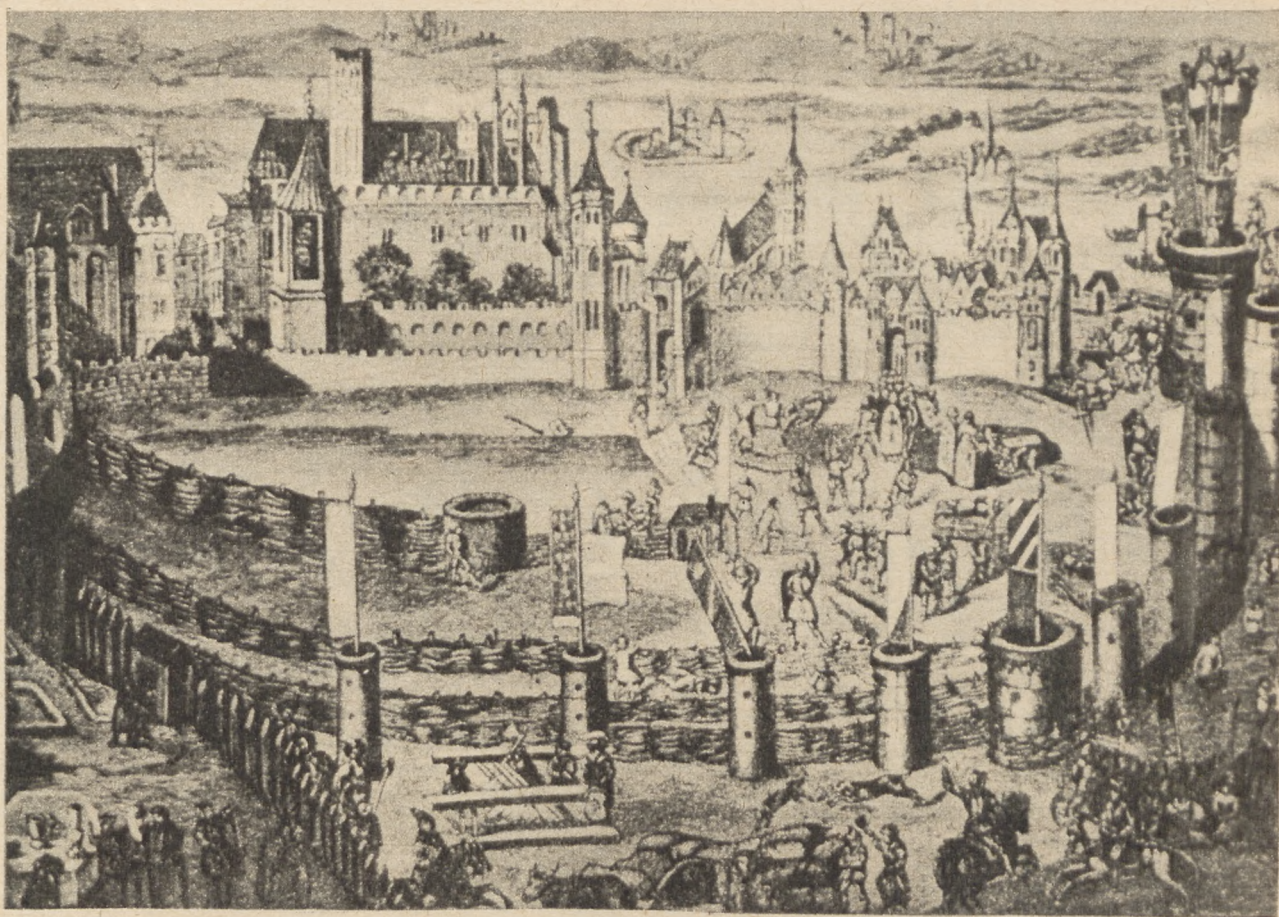
W końcu ubiegłego wieku pruski teoretyk wojenny, generał Koehler, z uznaniem wyraził się o tych „szczyt-

przeliczanego w kupieckich piwnicach nie zdołał jednak przygłuszyć pieśni, którą uparcie śpiewał lud:

„Królu Kazimirze
Nie żyj nigdy w mirze
Z Prusakami*)
Aż odzyskasz Gdańsk”.

Jeśli bowiem któryś z patrycjuszów od czasu do czasu dostał po nosie od swoich krzyżackich patronów, to przecież lud Gdańska, podobnie jak innych miast Pomorza, obrywał najgorsze cięgi. Dostyc sumienni przedstawiciele stanów pruskich rzeczy te notowali. W sto lat później znalazły się one w tak zwanej „Skardze na Zakon Krzyżacki”. Była to nie tyle skarga, ile akt oskarżenia na skalę norymberską, kilkadziesiąt punktów zawierający. Oto niektóre z nich, opisujące sprawki co ważniejszych feudałów krzyżackich:

...Również Jego (Wielkiego Mistrza) komtur domowy z Torunia, który zwał się pan Wilhelm von Steine, oni obaj dob-



Obłężenie stolicy Zakonu — Malborka w 1465 roku (obraz z Dworu Artusa). W owym czasie wyzwolony spod jarzma krzyżackiego Gdańsk brał czynny udział u boku Korony Polskiej w wojnie przeciwko Krzyżakom.

nych” tradycjach junkierskiego oręża. Napisał szczerze i po prostu:

„Podobnie, na większą jeszcze skalę poczynił sobie Dżyngischan, gdyż nie posiadał dość licznych wojsk, aby zostawić załogi w większych miastach. Wobec nielicznej siły zbrojnej, jaką rozporządzał Zakon, nie pozostawało mu nic innego, tylko radzić sobie podobnym sposobem”.

...UBOGICH LUDZI KAZALI TOPIĆ...

„Zasługi” patrycjatu nie poszły w zapomnienie: Zakon ufundował sobie zamek warowny u ujścia Wisły, ugruntował w mieście władzę bogatych kupców i pozwolił im robić pieniądze. Ludność plebejską izolował w Osieku, to znaczy osadzie otoczonej drutami, kazał jej składać daniny i pełnić służebności w zamian za prawo łowienia ryb i zbierania bursztynu. Powstał pierwowzór obozu koncentracyjnego czy też getta — jak kto woli. Zapanował upragniony „porządek”, życie szło naprzód, miasto Gdańsk nawet się rozrastało. Brząk złota

rych i ubogich ludzi kazali topić, ażeby mogli z ich żonami czynić, co im się podobało...

...Również dobrzy ludzie wysłani byli w interesach Wielkiego Mistrza, a w czasie ich nieobecności panowie zakonnicy bezczęścili ich żony. To uczynił pan Pomersheim...

...Również prokurator pan Kyngsberger z Niborka kazał jednemu biednemu chłopu uciąć obie ręce, ponieważ on kogoś drugiego lekko skaleczył; chociaż ten poszkodowany nie skarżył, nawet wstawił się za nim, prokurator nie chciał okazać łaski...

...Również kucharza kazał powiesić, który miał przy sobie trochę pieniędzy, chociaż ten chciał dać dowody, że tego nie ukradł, jak go posadził prokurator...

...Również ścigano w nieproporcjonalnej wysokości kary sądowe z ludzi, w ten sposób niejednemu ubogiemu człowiekowi zabierano sposób do życia, o ile nie umiał sobie prawnie poradzić...

A któż umiał sobie z nimi poradzić prawnie, skoro nie uznawali żadnego prawa, nawet przez siebie stanowionego! Trzeba sobie było radzić innym sposobem, i gmin gdański potrafił się na to zdobyć.

*) Prusakami nazwano w tej pieśni faktycznych władców Prus, tzn. Krzyżaków.



Wielki Młyn w Gdańsku był 500 lat temu centralnym obiektem gospodarczym miasta. Opanowanie młyna przez uzbrojony lud w roku 1451 przesądziło o wyniku powstania; 11 lutego komtur krzyżacki poddał zamek

Niewiele przedostało się do nas wiadomości o owych ludziach, którzy pierwsi zbrojnie wystąpili przeciw krzyżackim okupantom i kolaborującym patrycjuszom. Nie znamy nawet ich imion. Poszły w zapomnienie, tak jak rozpadły się w proch gliniane domki, które klecili sobie na krańcach miasta, w pobliżu murów. Przetrwała tylko mała notatka, że w roku 1361, a potem w 1378 gmin rzucił się do walki z Krzyżakami wołając: „Kraków, Kraków!”

Coś jednak z tego można wywnioskować. „Kraków” — to hasło bojowe zastępów polskich, wznoszone na polu bitwy pod Płowcami. Gmin gdański pragnął więc powrotu Gdańska do Polski, gmin gdański był sam rdzeniem polski. Powstania stłumiono, buntowników stracono, ale hasło ludu gdańskiego miało jeszcze rozbrzmiewać niejednokrotnie.

HANDLOWAĆ POTRAFIMY SAMI

Na początku wieku XV coś się poczęło psuć w harmonijnym współżyciu krzyżackich panów i gdańskiego patrycjatu. Żegluga stawała się coraz sprawniejsza, handel zamorski zbyt wielkie dawał korzyści, aby zakonni „asceci” przyglądali się temu obojętnie. Gdańszczanie robili majątki — a my sami nie potrafimy? Do roboty! Krzyżacy budują obok Gdańska własną, konkurencyjną osadę miejską. Na towary wywożone z portu nakładają cło — tak zwane funtowe. Basen portowy zamknięto na łańcuch (dosłownie) — karawele, barki, szniki, krajerzy tłoczą się tam tak długo, aż armatorzy nie uregulują swoich zobowiązań.

W mieście Zakon zakłada własne tartaki, młyny i garbarnie: nad Radunią i Motławą „koła zaczynają obracać się dla bogactwa”. Przedstawiciele stanów pruskich skarżą się, że przemysłni braciszczkowie monetę srebrną zamienili na miedzianą oraz skrócili łokieć flamandzki, co w prosty a genialny sposób doprowadziło do zwiększenia podatków, albowiem „gdzie po staremu mierzyło się cztery łany, teraz mierzy się pięć”.

Niedobrze więc się dzieje, panowie rajcy! Nawet święta Brygida, neutralna Szwedka, która żyła i umarła w owym czasie w Gdańsku, uznała za stosowne mieć następujące widzenie: oto ukazał jej się Pan i taką opinię wydał o Krzyżakach:

„...Nie dbając o dusze, nie współczując ciałom nawróconym na wiarę katolicką, uciskają ich pracami, pozbawiają ich dzieciństwa i z większym bólem posyłają ich do piekła, niż gdyby trwali w swolm zastarzałym poganstwie; walczą też jedynie, by swą pychę pomnożyli i powiększyli chciwość. Dlatego też nadejdzie na nich czas a polamane będą zęby ich, prawica będzie okaleczona i podcięta ich prawa noga...”

Jednym słowem stracili dobre imię nawet wśród świętych! Kielicha goryczy dopełnia nowy skandal: morderstwo na osobie kupca, niejakiego Wita Marziera z Nieszawy. Handlował on z Gdańskiem przewożąc towary Wisłą na własnym statku. Ani własnego statku, ani tego, że omijał porty krzyżackie — nie mogli mu darować bracia zakonni. Wit Marzier życiem przypłacił swoją kupiecką oszczędność, a „przykładowe” to morderstwo rzuciło postrach na patrycjat gdański.

LUD SIĘ ROZJUSZYŁ

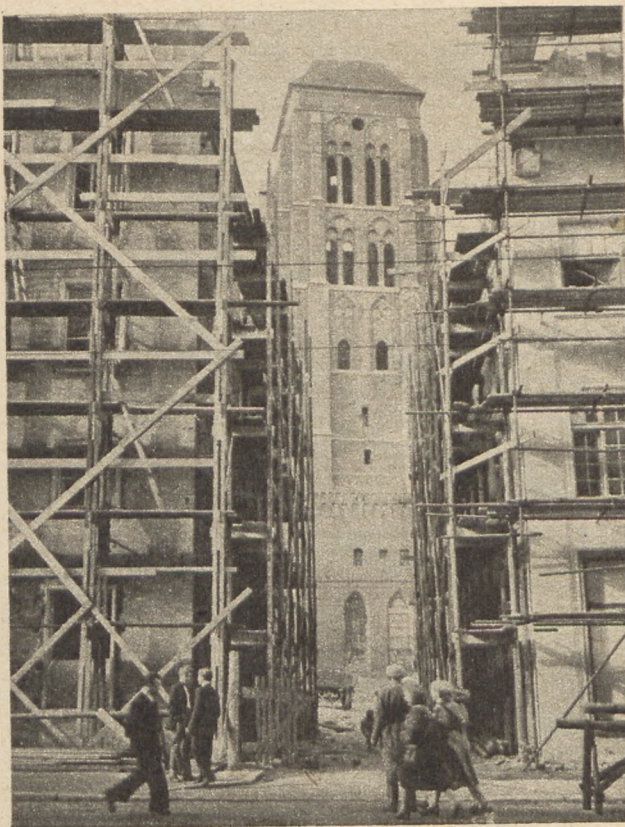
Skoro tak się miały sprawy, jasne, że mieszczaństwo gdańskie skorzystało z pierwszej okazji, aby pozbyć się uciążliwego patrona. Nadszedł rok 1410 i w bitwie pod Grunwaldem najemne wojska gdańskiej rady miejskiej

wprawdzie jeszcze występowały po stronie Zakonu, ale już w dniach następnych, gdy okazało się, że Krzyżacy otrzymali decydujący cios, rada miejska podejmuje kroki dociągające. Zamyka mianowicie ujście Wisły i nie dopuszcza żadnych posiłków dla Zakonu. Na wycofujących się z miasta kawalerów krzyżowych posypał się grad kamieni. Jak pisze z goryczą kronikarz zakonny „lud się rozjuszył” (das volk war wuttende). Uderzył w dzwony i przepędził niedobitków krzyżackich, nie oszczędzając ich zbytnio na zdrowiu i życiu. Burmistrz gdański, Letzkow, udał się natychmiast do obozu polskiego pod Malborkiem i złożył hołd poddańczy królowi.

Cieężko mieli gdańszczanie za ten swój krok odpokutować. Zręczną dyplomacją i nienajgorszymi posunięciami natury militarnej zdołali Krzyżacy jakoś połatać nadwątloną potęgę — wrócili także i do Gdańska. Po Grunwaldzie skarb zakonu był pusty i komtur gdański uważał, że otwiera się tutaj tak piękna, jak pożyteczna możliwość zemsty na tych „hundsleben”): synął nowe podatki.

6 kwietnia 1411 roku dwaj burmistrzowie Gdańska — wspomniany Konrad Letzkow i Arnold Hecht, obaj sta-

*) „Psie syny”.



Tzw. Główne Miasto gdańskie rozciągało się w XIV wieku wokół Katedry, potężnej budowli gotyckiej.

rzy zasłużeni żeglarze, a wraz z nimi rajca Bartłomiej Hecht, pojawili się na zamku komtura, który zaprosił ich na rokowania w sprawach podatkowych. W kilka godzin później ciała ich, podziurawione mieczami, powiewały się w fosie zamkowej, a rada miejska i gmin „musiały bez czapek stanąć przed komturem von Plauen, aby go przeprosić...” Tak właśnie wyglądały rokowania z Zakonem.

POD ZNAKIEM SREBRNEJ JASZCZURKI

Tego jednakże było już za wiele. Wydaje się, że ohydny mord polityczny odniósł skutek wręcz przeciwny od zamierzonego: zamiast zastraszyć miasto, umocnił je w oporze przeciw Zakonowi. Patrycjusze coraz gorzej bici po kieszeni i — jak się okazało — narażeni również na utratę życia, porzucili wszelkie wahania i wstąpili na drogę, którą od dawna kroczył już rewolucyjny gmin. Znalazła sobie zwolenników i w tym mieście owa srebrna jaszczurka, symbol tajnego związku szlacheckiego, z którego działalnością wiązano tyle nadziei. Towarzystwo Jaszczurkowców (organizacja mafijna, z paru zaledwie ludzi złożona) zdołało powołać do życia tak zwany Związek Miast Pruskich i uruchomić go przeciw Zakonowi.

500 lat temu, 4 lutego 1454 roku, tajna rada Związku rzuca w Gdańsku hasło do powstania. Patruje Związek, ale do powstania idzie lud: garbarze, młynarze, powroźnicy, tragarze portowi, służba wszelkiego rodzaju. Uzbrojeni ciągną na Wielki Młyn, centralny obiekt gospodarczy miasta. Pchają ich do walki żywe wspomnienia tego, co „uczynił pan Pomersheim”, pan prokurator Kyngsberger i tylu innych krzyżackich panów, pamięć egzekucji z roku 1378, krwawy obraz, jaki ujrzeli w zamkowej fosie w dniach nieszczęsnego poselstwa burmistrzów. Ciężkozbrojni pacholkiwie nie są w stanie stawić czoła ludowi żądającemu wolności.

Młyn opanowano, załogę krzyżacką rozbijono. 11 lutego przerażony komtur poddał zamek w zamian za prawo wydalenia się wraz z załogą.

Tłum rzucił się na zniechęcone mury i jał roznosić je cegła po cegle, z jakąś planową, metodyczną zawziętością. Nie był to wybuch żywiołowy, ale praca ciężka, o przemyślanym politycznym celu; gmin gdański burzył warownie przez dobre dwa miesiące: w maju zniknął symbol panowania krzyżackiego, pozostał tylko plac pagórkowaty, który z czasem zarósł chwastami. Dziś możecie go oglądać w tej właśnie postaci.

Podczas gdy tragarze i rzemieślnicy gdańscy spychali do fosy rozbite na kawałki baszty i bramy zamkowe, delegat Gdańska i całego Pomorza — rycerz Jan Bazyński, jeden z najwybitniejszych Jaszczurkowców, klęczał przed królem polskim prosząc o ponowne wcielenie tych ziem do Polski.

„Wzrusz się naszymi łzami i prośbami — mówił — miej wzgląd nie tylko na nas, ale na tych, którzy wśród nadziei i obawy oczekują powrotu naszego, a z nim odpowiedzi, mającej im przynieść pociechę lub ciężką żalostę”.

Wzruszył się król łzami Gdańszczan, a że równocześnie losy tego miasta nie były obojętne państwu polskiemu, więc wydał akt, na mocy którego Gdańsk został „inkorporowany, przyłączony i ponownie wcielony do macierzy...” Jako miasto polskie rozrastał, rozwijał się i nabierał świetności. Związany organicznie z ziemią polską prosperował znakomicie — co tak pięknie wyraził poeta gdański w XVII w. Daniel Kolaj:

„Dobrzeć Polszcze ze Gdańskiem, a z nią zaś Gdańskowi,

Jako złotej koronie, w niej diamentowi.
Wiem, że gdyż ślub wzięło raz z polską Koroną
Nikt Cię odąd do końca nie rozwiedzie z Oną”.

Niestety, niestety. Nadszedł okres rozbiorów, a wraz z nim „rozwód” Gdańska z macierzą.



Domki plebejskie, z lichego materiału, rozsypały się w proch. Oto jeden z nielicznych, które przetrwały...



Dobrze jest chłonać piękno Morskiego Oka i uczyć się na turniach geografii polskich Tatr po tylu intensywnych wrażeniach: po święcie Dziesięciolecia w Lublinie, po „odkryciu” Warszawy, po rozmowach z załogą Kędzierzyna, Nowej Huty, z górnikami Stalinogrodu, z chłopami spółdzielni produkcyjnej w Wilczkowie, z dziećmi...

POZNAWANIE Polski oczami dalekich przyjaciół, którzy nigdy dotąd nie widzieli jej krajobrazu, nie słyszeli rytmu jej pracy, nie odczuli radości jej odpoczynku i przyjechali aby przekonać się, czy to, co zobaczą, odpowiada temu, co o Polsce czytali i słyszeli — podobne jest do konfrontacji dwojga ludzi, którzy wiedzą o sobie niejedno, ale nigdy się nie widzieli.

Wśród prawie czterdziestu mężczyzn i kobiet (muzyków, rzeźbiarzy, robotników, lekarzy, profesorów) — delegatów Towarzystw Przyjaźni z Polską z jedenastu krajów — byli tacy, dla których podróż po naszym kraju stała się potwierdzeniem i ugruntowaniem przyjaźni i optymizmu. Przyjechali i tacy, których spojrzenie przesłonięte było na początku bielmem uprzedzeń i wątpliwości; o źródle tych uprzedzeń mówił m. in. na konferencji prasowej Przewodniczący Towarzystwa Przyjaźni Holendersko-Polskiej, delegat najstarszy wiekiem, a najmłodszy entuzjazmem. Mówił o oszczercach Polski dzieląc ich na trzy kategorie: jedni negują wszelkie osiągnięcia Polski Ludowej; drudzy przyznają, że „istnieją pewne rezultaty w dziedzinie gospodarczej”, ale „kultura leży odległemu”; ostatni wreszcie ubolewają nad „zaniedbaniem” skarbów wiekowej kultury polskiej i nad „powierzchnowością” naszych wysiłków na polu sztuki.

Zetknięcie się z życiem polskim w Warszawie, Lublinie, Gdańsku, Stalinogrodzie, Wrocławiu, Krakowie, Nowej Hucie, spotkania i rozmowy z ludźmi — działaczami politycznymi i kulturalnymi, robotnikami, chłopami, pisarzami, artystami, dziećmi, młodzieżą — sprawiły, że wątpliwości odpadały jedna po drugiej, a spojrzenie na Polskę nabrało ostrości, jak oczyszczony z mętów obiektyw fotograficzny.

„Myślę, że znaleźliśmy w Polsce przyjaciół na całe życie. Myślę też, że przyjaźń narodu polskiego będzie dla nas bodźcem, abyśmy nigdy nie ustawiali w walce o pokój. Wzajemne poznanie się naszych narodów jest warunkiem skuteczności tej walki. Wiem, że nasza przyjaźń będzie coraz silniejsza, a optymizmem tym natchnął mnie optymizm Polaków” — w tych słowach Trygve Norum, Przewodniczącego Towarzystwa Przyjaźni Norwegii z Krajami Demokracji Ludowej — mieści się chyba najgłębszy sens wspólnie przeżytych w Polsce tygodni.

D. B.

Zdjęcia: W. PRAŻUCH

Mały „spółdzielca” z Wilczkowa nie zna wprawdzie norweskiego, ale profesor geografii z Oslo, Peter Pedersen, porozumiewa się z nim — jak widać — nadzwyczaj łatwo

Nie łatwo było, po radosnym poranku spędzonym w Nowej Hucie, pogodzić się z widokiem śladów hitlerowskiego okrucieństwa w Oświęcimiu. Po zwiedzeniu b. obozu koncentracyjnego, przyjaciele Polski z Niemiec zachodnich złożyli tam uroczyste przyrzeczenie: „Będziemy walczyć z całych sił, żeby nie było nigdy więcej obozów śmierci!”



POLSKA



We wrocławskim Domu Dziecka nastąpiło wzruszające spotkanie. Więzy przyjaźni okazały się tak mocne, że trudno było się pożegnać. Lekarz szwedzki John Takman przedłuża chwile rozstania z dziećmi

W OCZACH PRZYJACIÓŁ

Wrocławiu, w Muzeum Śląskim, delegaci obejrzeni gotyckie arcydzieła mistrzów ludowych i wystawę „Dzieła wielkich kultur polskiej na Śląsku”. Tegoż dnia w odbudowanej katedrze wysłuchali „zaimprovizowanego” koncertu na organach. Wykonawcy: delegat z Monachium i znakomity organista polski, Oćwieja.



Po drodze na Stare Miasto architekt Stanisław Jankowski pokazuje delegatom fotografie ruin Warszawy. Nie można bez tego zrozumieć, jak niedawno jeszcze wyglądała zniszczona podczas wojny stolica



Słynny przewodnik Obrochta zapraszał Anglików, żeby zostali w Zakopanem. Mechanik R. Lain, z prowincji Norfolk, pierwszy raz w życiu zobaczył góry. Wyraził nadzieję, że wkrótce przyjedzie tutaj znowu





Z tej strony nie oglądają nigdy warszawskiej publiczności niedzwiedzie, trzymane tuż przy Trasie W—Z, na betonowej wyspie. W zimie czy w lecie przyglądają się sobie nawzajem misie i ludzie z niesłabnącym zainteresowaniem. Jabłka rzucane są jednak tylko jednokierunkowo

Misie nie z pluszu

Zdjęcia: JAN KOSIDOWSKI

„Przyjacieli rzucić nam jabłko lub inny przysmak; łobuz — ciśnie w nas butelką. Za betonowym ogrodzeniem chuligan czuje się bezpieczny przed naszymi zębami i pazurami. Chuligani nie zaczepiają silniejszego — rzucają się na bezbronnych.

Litujemy się nad misiami. Nic nie przeszkobiły — a zostały skazane na dożywocie na betonowych skałach, wśród kurzu i zgiełku warszawskiej ulicy, z dala od mrocznych lasów.

Zakochane niedzwiedzie nie są same na świecie — patrzą na



„Nuda mnie ogarnia
gdy na Was patrzę” —
powiedział brunatny

Z niedźwiedzim
wdziękiem gramolą
się po kapieli, pomru-
kując: „Nasi przodko-

SPOTKANIE Z ALADAREM RACZ

Napisał: JERZY FICOWSKI

WIELE cygańskich kapel muzykuje na Węgrzech, podzwania na cymbałach, ale milkną, z zachwytem wsluchując się, kiedy doleci do nich nadawana przez radio muzyka największego współczesnego cymbalisty Aladara Racza.

„Woj baszawel sar beng!” — mówi z podziwem stary Cygan-cymbalista — „On gra jak diabeł!” Nie wiadomo nam bliżej, jak diabeł grywa, ale trudno nie zgodzić się z tym pełnym zachwytu określeniem.

Będąc w Budapeszcie, zapragnąłem — przed wyruszeniem w inne okolice Węgier — zobaczyć Aladara Racza.

Na wierzchołku wysokiego wzgórza Budy, w zieleni — ładna willa. Przez ogródek prowadzi nas pani Racz, żona cymbalisty. W obszernym, jasnym pokoju czeka Aladar Racz, profesor budapeszteńskiego konserwatorium, blisko siedemdziesięcioletni, drobniutki, uśmiechnięty, serdeczny.

Przy pomocy towarzyszącej mi tłumaczki zaczynam rozmawiać z pełnym szczerą bezpośredniością mistrzem. Jest w nim coś chłopięcego: „Duszę mam niepostarzałą, ale ciało stuletnie” — mówi Racz ze smutnym uśmiechem. Uczniowie przychodzą na lekcje do niego; serce nie pozwala mu na opuszczanie domu. Wskazując szerokim gestem obwiezione ściany, mistrz mówi o swoim życiu.

Jako mały chłopiec, syn Węgierki i Cygana, wyjechał wraz z cygańską kapelą na zachód Europy, dotarł do Francji. Wędrował z muzykancką trupą i nic na razie nie zwiastowało przemian i awansu artystycznego, jakie się miały w jego życiu dokonać. Do porzucenia kapeli i doskonalenia się w grze na cymbałach zachęcił go dopiero Igor Strawiński. Na ścianie wisi stara fotografia znakomitego kompozytora z obszerną, wyblakłą już nieco dedykacją. Obok, na tej samej ścianie, także położony słoncem, wisi ozdobny dyplom nagrody imienia Kossutha, przyznanej wielkiemu artyście przed kilku laty przez jego ludową ojczyznę.

Niełatwo przyszło małemu muzykantomu zdobyć się na usłuchanie rad Strawińskiego. „Cygan niechętnie swoich porzuca, bardzo niechętnie” — mówi Racz z uśmiechem. Ale wreszcie — usłuchał. I sława jego jako wirtuoza-solisty rozpoczęła się już tam — we Francji. Mozolnie, długą pracą nad sobą, doszedł Racz do wspaniałych wyników, do rezultatów nie spotykanych w tej dziedzinie. Świat muzyczny nie od razu ośwoił się z „intruzem”, nieraz miano mu za złe jego wariacje cymbałowe. Cygańska — chciałoby się rzec — zdolność do muzycznej improwizacji, do nadawania nowych kształtów istniejącym, niewzruszonym melodiom, raziła niektórych. „To nie to” — mówiono — „To nie tak”.

Racz podchodzi do stojących przy fortepianie cymbalów i, zanim zagra, opowiada o nowym typie pałeczek, które sam skonstruował i które własnoręcznie wystruguje na warsztaku stolarskim stojącym w sąsiednim pokoju. „Dużo dała mi, wiele mnie nauczyła — kontynuuje Racz swoje wspomnienia — znakomita klawesynistka polska Wanda Landowska”. Wskazuje pałeczką jej fotografię wiszącą tuż koło cymbalów. Wspomina znakomitego dyrygenta polskiego Grzegorza Fitelberga; mówi o nim zachwycając się wspaniałym człowiekiem, doskonałym artystą i znawcą muzyki.

Nie miałem możliwości systematycznej

nauki w szkołach — mówi — inne były czasy, jakże inne warunki! Wszystko zdobywałem sam, zupełnie sam. A sił dodawało mi zawsze, po dziś dzień, gorące ukochanie muzyki. Ona jest moim światem. To szeroki, rozległy świat. A had nim uncsi się nieśmiertelny geniusz Jana Sebastiana Bacha. I wielki Chopin. Biedny Chopin...

Rozumiemy się. Jest coś do głębi wzruszającego, jakiś bardzo ludzki tragizm w tym, że Chopin — żyjący w sercach milionów wielbicieli jego muzyki — Chopin geniusz tonów, był borykającym się z chorobą i troską „biednym Fryderykiem”. Tak się nie mówi, tak się nie myśli o martwych, dostojnych posągach. Tak powiedzieć można tylko o człowieku, którego dzieła są nieprzemijającym wyrazem ludzkich treści zawartych w jego własnych, przemijających losach. Wielki Chopin. Biedny Chopin...

Aladar Racz gra. Obok akompaniuje żona na fortepianie. Spod rozbieganych pałeczek dobywają się dźwięki gawota Lully’ego, a potem Bacha, Scarlatti’ego. Finezyjna muzyka dawnych mistrzów wypełnia pokój i wybiega przez okna w słoneczne, zielone popołudnie.

Nisko przelatujący samolot zagłusza nagle muzykę. Racz odrywa oczy od strun i spogląda za okno. Że też musiał właśnie teraz przelatywać! Całkiem popsuł mu Lully’ego!

Pytam, czy ma uczniów, kontynuatorów swej pięknej sztuki. — Tak! — cieszy się — Tak! Niedawno zrobił dyplom mój uczeń Ferenc Gerencser. Ja — nie mam dyplomu... — wtrąca, uśmiechając się. — On będzie zbierał najdojrzalsze owoce kilkudziesięciu lat mojej pracy. O, cieszę się, bardzo się cieszę! Byłem na jego egzaminie dyplomowym. To bardzo zdolny chłopak. Przed sześciu laty umiał tylko siano kosić w swojej rodzinnej wiosce... Na egzamin ten przyjechał ze wsi jego rodzice. Stara matka, w chuście na głowie, to śmiała się, to płakała, żywo gestykułując, wzruszona grą, przejęta doniosłością chwili i wielką salą koncertową, w jakiej nigdy jeszcze nie była, dumna, że wszyscy oklaskują jej syna. Surowa komisja egzaminacyjna była zachwycona i zdumiona po trochu: poważna muzyka na takim „niepo-

ważnym” instrumencie! Co grał? — zapyta pan. Lully, Couperin, Daquin, Scarlatti, no i oczywiście Jan Sebastian! A także Tańce Rumuńskie — moje. Po egzaminie wstał, uściskaliśmy się i popłakaliśmy się we trójkę z matką. A potem przez całą noc nie mogłem usnąć.

Długo jeszcze rozmawiamy. Racz mówi o żonie: — To najlepszy towarzysz mojego życia i muzyki.

Mówi o swoim powrocie do ojczyzny, o entuzjastycznym przyjęciu przez publiczność węgierską.

— To budzi zapał. Postanowiłem pracować, pracować, pracować. I nie przestanę aż do chwili, kiedy już będę musiał przestać na zawsze. To wielka radość dla mnie, kiedy widzę moich uczniów, ich rozwój, umiejętności, które staram się im przekazać. Prócz dyploma mam jeszcze dwóch, nie mniej zdolnych. Jakże inaczej układa się życie im, młodym, niż mnie za dawnych lat. Szczęśliwym zbiegom okoliczności i własnemu uporowi zawdzięczam, że coś tam ze mnie wyrosło. A oni?...

Z dumą to powiedział. Wiem: opieka ludowych Węgier nie pozwala marnować się żadnym domorosłym talentom.

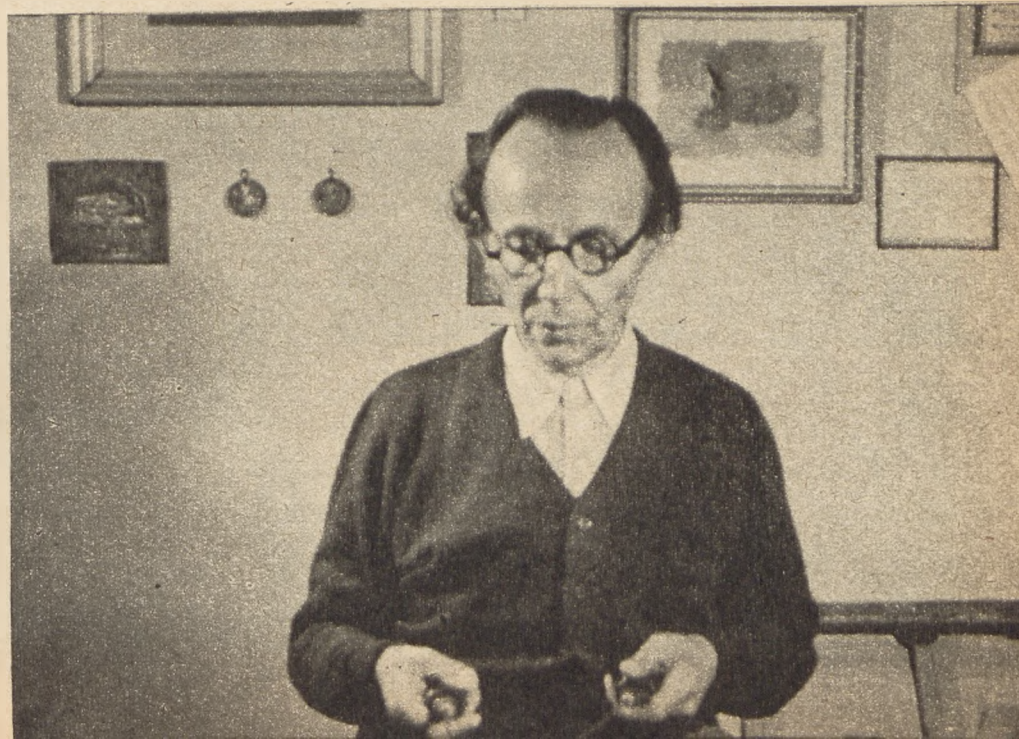
Aladar Racz zasiada znów do cymbalów. Za oknami wniebogłosy dzwonią świerszcze. Pytam, wspomniawszy warok samolotu, który przeszkodził mu grać: — A świerszcze? Nie przeszkadzają?

— Świerszcze? O, nie. Przecież to też muzyka.

Długo jeszcze rozmawiamy. Ze łzami w oczach, serdecznie nas żegna. — Tak bym chciał jeszcze pojechać do Polski! — mówi — Ale już nie pojadę: serce. Proszę zawięzić znajomym i przyjaciołom w Polsce pozdrowienia. Sam już nie pojadę, ale serce posyłam — bardzo już słabe, ale bardzo wam życzliwe.

Odjeżdżamy z kręgu zaczarowanego muzyką. Aladar Racz wraz z żoną już z daleka macha za nami chusteczką. W zieleni Budy, wysoko ponad wstęgą Dunaju, dzwonią przyjazne muzyce świerszcze.

...Racz podchodzi do stojących przy fortepianie cymbalów i, zanim zagra, opowiada o nowym typie pałeczek, które sam skonstruował i własnoręcznie wystruguje



niedźwiedź fotografowi. „Czy nie macie już nie lepszego do roboty jak tylko przyglądać mi się? Misie tego nie lubią.



wie kończyli słynną smorgońską akademię i wędrowali po Polsce, podziwiani przez tłumy, które wtenczas nie знаły jeszcze ani kina, ani radia, ani „ŚWIATA”.

ich miłość ludzie. Ani drzewka, ani krzaczka, ani mchu pod łapami — nie, tylko rozpalony sierpniowym słońcem beton



FOTO

KORRESPONDENCI DONOSZA

POKRZYWDZENI CYRKOWCY



Wśród 11 cyrków, które z wiosną bieżącego roku rozpoczęły swój doroczny koczowniczy żywot, Cyrk nr 7 jest pierwszą i jedyną w Polsce areną młodzieżową. Cały jego zespół artystyczny stanowią młodzi, z których większość pierwszy raz występuje na arenie.

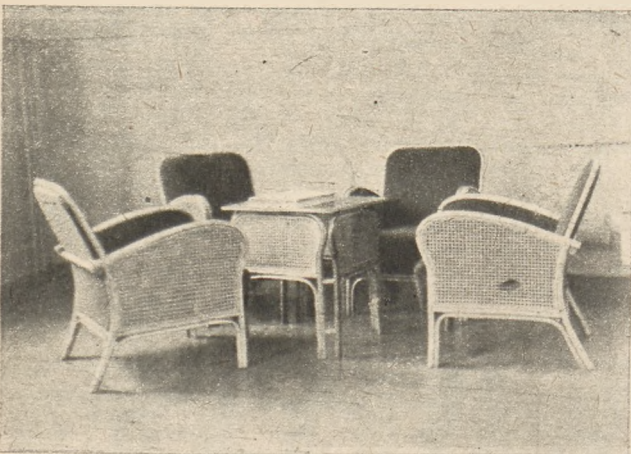
Jest to też jedyny cyrk, który nie posiada własnego wozu świetlicowego.

To przykre „wyróżnienie” rozgorycza młodych artystów cyrkowych tym bardziej, że w czasie, kiedy arena zajęta jest na inne próby, wielu z nich musi przeprowadzać ćwiczenia pod gołym niebem, jak to (na zdjęciu) robi zongler Andrzejewski.

W sprawie wozu świetlicowego kierownictwo Cyrku nr 7 kołuje już od kilku miesięcy do Zjednoczenia Przedsiębiorstw Rozrywkowych — jak dotąd bezskutecznie.

A. Liberda, Wrocław

DLA „BATOREGO” I DLA WSI



W Kwidzynie znajduje się jedyne w Polsce Technikum Wikliniarsko - Koszykarskie.

W budynku Technikum mieści się stała wystawa wzorcowa, na której można zobaczyć estetyczne, wygodne meble i przedmioty gospodarstwa domowego. W salach wykładowych i w świetlicy nawet opawy obrazów, emblematy oraz piękna dekoracja sceny wykonane są z wikliny.

Wszystkie te przedmioty

są dziełem uczniów technikum, kształcących się tu na przyszłych kierowników produkcji zakładów wikliniarsko - koszykarskich. Wypada nadmienić, że meble dla M.S. „Batory” zostały wykonane przez to właśnie Technikum.

Obecnie wykładowcy wspólnie z uczniami opracowują nowe, estetyczne modele mebli na użytek wsi.

A. Wysocki, Kwidzyn

CHCEMY SIĘ KAPĄĆ



Rybiego w powiecie kwidzińskim jest uroczą miejscowością wczasową wśród lasów, toteż w sezonie tłumnie zjeżdżają tu wczasowicze. Lecz Rybiego odczuwa brak wody, gdyż Wisła odległa jest o 5 km, a najbliższe jezioro o 2 km.

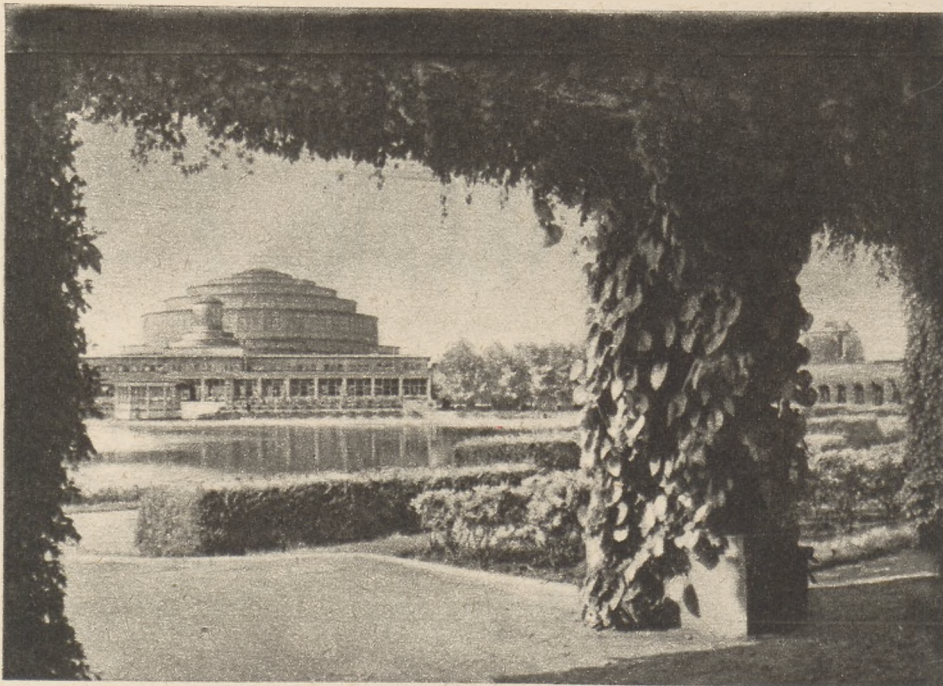
Natomiast w pobliżu Rybiego w lesie, przy szosie sztumskiej było piękne kąpielisko. Niestety, z dawnego kąpieliska pozostało tylko bajorko i słupy skoczni. Ka-

liny są zdewastowane, a kanał doprowadzający wodę z jeziora zanieczyszczony.

Władze powiatowe, przede wszystkim Kultury Fizycznej, powinny tą sprawą szczerze się zająć i doprowadzić kąpielisko jak najszybciej do stanu używalności. Zyskałoby nie tylko wdziękućność 3 tysięcy mieszkańców Rybiego, ale i licznych turystów i wczasowiczów.

A. Wysocki, Kwidzyn

BĘDZIEMY „KRĘCIĆ” WE WROCŁAWIU



Tysiące wrocławian spieszących co tydzień na imprezy do Hall Ludowej nie orientują się, co się dzieje w przylegających do niej pawilonach. Niejeden zdumiałby się bardzo, gdyby mu pokazano efekty rocznej pracy nad budową wrocławskiej Wytwórni Filmowej, mieszczącej się na terenie dawnej wystawy.

Dogodne warunki terenowe, jasna, otwarta przestrzeń, piękny park, pawilony położone z dala od ruchu miejskiego, doskonale sprzyjały wybudowaniu właśnie we Wrocławiu nowoczesnej wytwórni filmowej.

Pawilon Prostokątny, z dawnej Wystawy Ziemi Odzyskanych, w którym mieści się obecnie hala do zdjęć, został szczerze odizolowany od pozostałych pomieszczeń ścianami dźwiękochłonnymi, a na pierwszym piętrze urządzono wygodne garderoby dla aktorów, pokoje dla reżyserów, asystentów, operatorów i personelu technicznego. Obecnie buduje się już drugą halę zdjęciową, a w projekcie jest jeszcze i trzecia.

Mieczysław Zacharski, Wrocław

„JASTARNIA” PRZYPLYNĘŁA DO GDYNI

Dzień 6 czerwca 1954 r. rozstawił na całym świecie polskich ratowników. Uniesiony na pontonach, potężny, kilkanaście tysięcy BRT liczący wrak statku „Seeburg” — zwany „Jastarnią” — został przeholowany na 20-metrową „mieliznę”. Niedługo zagrzebał tu jednak miejsce. Gdy tylko uszczelniono przednie i środkowe ładownie, a ustawiona na nim bateria pomp osuszyła jego wnętrze, uniesioną w górę „Jastarnię” przeciągnęli holowniki na następne, jeszcze płytsze legowisko. Nie odchyliło się to bez „pisków”. Rufa wraka uparcie trzymała się dna i dopiero po długim czasie ruszyła w górę.

Tu, prawie nad samymi brzegami Jastarni, toczyła się już ostatnia batalia — wrak przygotowywano do uroczystego wprowadzenia do portu gdyńskiego. Ratownicy postanowili uporać się z tym do 22 lipca: to będzie najlepsze zobowiązanie na część 10-lecia Polski Ludowej — mówili.

20 lipca sprawa wyglądała jeszcze bardzo niewesoło... Nie dlatego, aby „nawalili” ratownicy — wszystkie prace zostały już zakończone i „Jastarnia” gotowa była do podróży. „Nawalili” pogoda. Dął silny wiatr dochodzący do 7 stopni w skali Beauforta, łagodne zazwyczaj wody Zatoki Puckiej pieniały się wściekle tłukąc o burty holowników i wraka. Bryzgi fal sięgały nawet pokładu

„Jastarni”, która przedstawiała urzekający widok „okrętu-widma”. Obrońnię muszlami baumy i liny wyglądały jak jakieś przedziwne, egzotyczne liany.

Ratownicy byli jednak dalecy od podziwiania tego wszystkiego. Spoglądali ze złością na gnającą po niebie chmury, co chwila pytali o komunikaty meteorologiczne, biegali do barometru i siarczyście kleli...

21 lipca w 2 minuty po północy — wiatr zaczął cichnąć. Do rufy „Jastarni” podpływa „Herkules” i „Swarożyc”. Odbierają rzucone im stalowe liny i rozpoczynają ściąganie wraka z mielizny. Przeszło godzinę „Jastarnia” broniła się zaciekłe — trzeba było ją dobrze rozhuścić; wreszcie ustąpiła i usunęła się na głębszą wodę. Szybko uformował się konwój.

„Jastarnię” wraz z sześcioma podtrzymującymi jej rufę pontonami i przycumowanymi doń „Smokiem” — holowały „Światowid” i „Swarożyc”. Z tyłu płynął „Herkules”; połączony stalową liną z wrakiem odgrywał rolę steru. „Morka” szła o parę kabli na przódsondując grunt. Konwój płynął wzdłuż brzegu na głębokości 14—16 metrów.

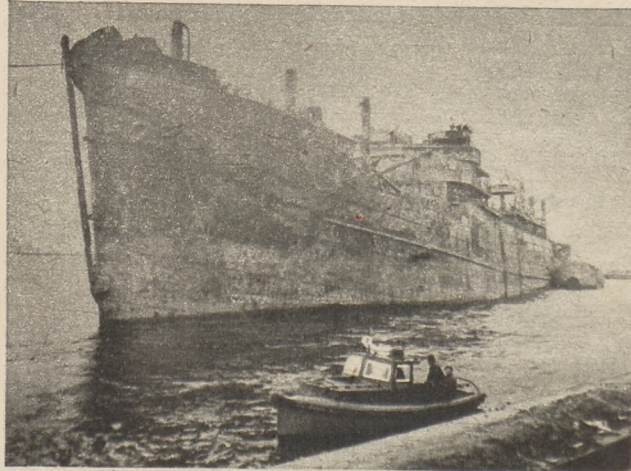
Po ośmiu godzinach dopłynęto do Gdyni. Pracujący na nabrzeżach robotnicy, marynarze polskich i zagranicznych statków ze zdumieniem przyglądali się mijającemu falochronowi konwojowi. „Ja-

starnię” przycumowano do Nabrzeża Francuskiego. Po dokładnym uszczelnieniu rufy i zakonserwowaniu statku, popłynęła ona do stoczni na remont.

Zwiedzający wrak zadzierają głowy do góry odczytu-

jąc umieszczony na kominie napis: „W dziesięciolecie Polski Ludowej — największy statek oddaje naszej flocie Polskie Ratownictwo Okrętowe”.

Romuald Dobrzyński, Gdańsk



FOTOGRAFIA NA CODZIEN

FOTOAMATOR I „PSTRYKACZ”

Wkrótce skończy się okres wczasów letnich. Dadzą nam one zapewne obfity plon negatywów, które trzeba będzie wywołać, uporządkować i opracować.

Większość fotografujących odda swe negatywy do laboratorium, zamawiając z „dobrych klatek” po jednym pozytywie stykowym czy też powiększeniu 6 X 9 cm. Potem fotografie te powędrują w zapomnienie — do albumów lub pudełek. W najlepszym wypadku przez czas jakiś służyć będą jako ilustracja do opowiadań o minionych wczasach i wycieczkach. Nie pomyślimy o ich walorach fotograficznych, o stronie technicznej i artystycznej, o negatywach leżących gdzieś w szufladach czy pudełkach.

Tak czyni niestety większość fotografujących. Oczywiście nie zasługują oni na miano fotoamatorów, są to raczej zwykli „pstrykacze”, bezmyślnie usiłujący zarejestrować na negatywie jakiś fragment życia.

Prawdziwy fotoamator ma większe ambicje. Pracuje planowo, dąży do podniesienia poziomu technicznego i artystycznego swych zdjęć. Nie zadowala się gromadzeniem „fotek” w standardowym, małym formacie 6 X 9 cm. Są one dla niego tylko punktem wyjściowym do dalszej pracy — opracowania obrazów fotograficznych większych rozmiarów.

Dla miłośnika fotografii powiększenie jest regułą. Tylko praca na powiększalniku pozwala poprawić kompozycję naszych zdjęć, usunąć zbędne szczegóły, bądź to posługując się wycinkiem negatywu, bądź też normując nasświetlenie poszczególnych partii obrazu.

Technika bromowa, oparta wyłącznie na pracy powiększalnikiem, daje olbrzymie możliwości opracowania obrazów fotograficznych, pełnej wypowiedzi artystycznej, bez konieczności stosowania skomplikowanych i kosztownych technik specjalnych jak guma, przetłok, bromolej, izohelia i inne. Technicznie poprawny, a więc właściwie nasświetlony, racjonalnie wywołany, czysty i nie uszkodzony negatyw jest podstawą naszej pracy. Dlatego też wielokrotnie już powtarzaliśmy i powtarzamy nadal, iż prawdziwy fotoamator sam wywołuje swoje filmy czy klisze. Czystość, dokładność, przestrzeganie czasu wywoływania, temperatury wywoływacza, delikatne obchodzenie się z emulsją — to podstawowe zasady obróbki laboratoryjnej naszego negatywu, decydujące o wynikach.

Bo tylko „pstrykacze” zadowalają się negatywem opracowanym niedbale, nie pozwalającym na osiągnięcie harmonijnych powiększeń większych rozmiarów.



Tadeusz Rzepkiewicz, Stalino

DZIECIĘCA POLANA

W dniu 22 lipca br., w 10-lecie Polski Ludowej otwarto w Stalino

parku Kościuszki, polanę dla dzieci. Już pierwszego dnia rozbrzmiewała ona śmiechem i radosnymi okrzykami.

Polana jest tak urządzona, że daje dzieciom pełną swobodę ruchu i zabawy: gry na otwartej przestrzeni, huśtaw-

ki, karuzele, basen i jazda na małych samochodach.

Przy wejściu na polanę ustawiono rzeźbę — dziewczynkę z piłką, a w alei można obejrzeć fotografie małych przodowników nauki ze szkół stalnogradzkich.

Tadeusz Rzepkiewicz, Stalino

„MAŻ DLA ANNY ZACCHEO”

Z SERII REALISTYCZNYCH FILMÓW WŁOSKIEJ KINEMATOGRAFII ZREALIZOWANY ZOSTAŁ W ROKU 1953 PRZECZ GIUSEPPE DE SANTIS.

OTO JEGO TREŚĆ:

Anna Zaccheo jest piękną dziewczyną, córką ubogich, prostych ludzi. Mieszka wraz z nimi w ruderze na jednym z neapolitańskich przedmieść i marzy, aby wreszcie dostać pracę. We Włoszech jednak nie jest to łatwe i spotyka ją zawód za zawodem. Owszem, gdyby Anna sprzedała swoją urodę, to może by się coś znalazło... dają do zrozumienia poniekąd ewentualni pracodawcy.

Ale Anna jest prostym, uczciwym człowiekiem. Kocha młodego marynarza Andrea. Poznali się pewnego upalnego dnia (1). Spędzili go pięk-

nie: byli na obiedzie, w teatrze, później na długim wieczornym spacerze.

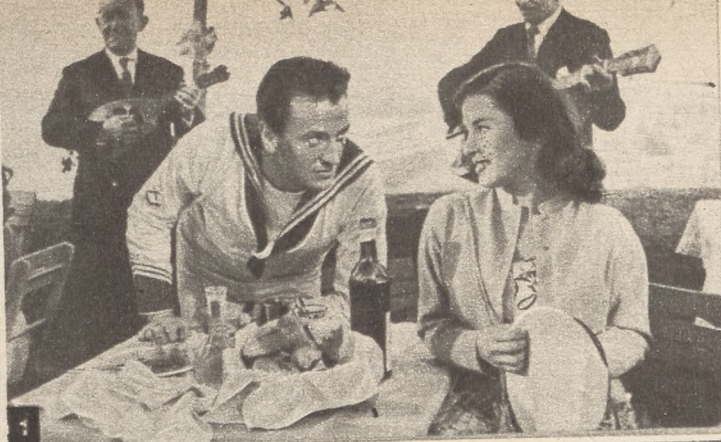
W ostatnią noc przed wypłynięciem Andrea w rejs, wyznają sobie miłość, obiecują wierność. Będą czekać na sposobną sytuację do zawarcia małżeństwa: kiedy zarobią tyle, aby móc kupić mieszkanie, założyć gospodarstwo (2).

Po wyjeździe Andrea, Anna ponownie odbywa długie wędrówki w poszukiwaniu pracy. Wreszcie znajduje ją w zakładzie fotograficznym. Jego właściciel, człowiek żonaty, podstępnie uwodzi Annę (3). Zrozpaczona dziewczyna usiłuje popełnić sa-

mobójstwo. Po powrocie ze szpitala jest znów bezrobotna, fotograf bowiem proponuje jej zamiast pracy, rolę... kochanki.

Andrea wraca — znów się spotykają (4). Znowu roją plany o małżeństwie, o wspólnym życiu, ale jednocześnie widzą, że trudne warunki materialne coraz bardziej oddalają perspektywę szczęścia.

Andrea wyjeżdża ponownie w rejs, Anna jest zrozpaczona. Nie wierzy, aby kiedykolwiek w istniejącej sytuacji mogła myśleć o uczciwej pracy, o mężu, o domu, o zwykłym ludzkim szczęściu... (5)



N A J L E P S Z E

WIELKĄ NAGRODĘ FESTIWALU W KARLOVYCH VARACH OTRZYMAŁY DWA FILMY:

„WIERNI PRZYJACIELE” — produkcji radzieckiej

komedia w reżyserii M. Kalataşowa, tryska żywym, bezpośrednim humorem a równocześnie chłopskie biurokrację i dygnitarские narowy ludzi, którzy w swej pracy oderwali się od mas.

„SÓL ZIEMI” — produkcji amerykańskiej

realizowali filmowcy Stanów Zjednoczonych — scenarzysta M. Wilson i reżyser H. Biberman, którzy za swe postępowe przekonania zostali usunięci z Hollywood. Tematem filmu jest strajk górników stanu New-Mexico w 1951 r.





XII Akademickie Mistrzostwa Świata w Budapeszcie przyniosły naszym sportowcom 10 złotych medali. Dwa z nich zdobyła Duńska — jeden za skok w dal (6,12 m.)

10 ZŁOTY



Rekord świata na 100 m stylem motylkowym ustanowił znakomity pływak węgierski Tumpek — w czasie 1:02,3



Ekipa polska uzyskała ponadto w Budapeszcie 16

Ekipa polska podczas defilady na stadionie budapeszteńskim. Wielkie spotkanie akademickie sportowców przyczyniło się do pogłębienia przyjaźni pomiędzy młodzieżą różnych narodów oraz przyniosło wiele znakomitych wyników, między innymi kilka rekordów światowych. W walce sportowej uczestniczyli przedstawiciele 34 państw.

Wszystkie zdjęcia: MAGYAR FOTO



CH MEDALI

JÓZEF HEN

Notatnik zapaleńca

Z PAMIĘTNIKA ZRZĘDY

WTOREK.

...Ojej, znowu te sukcesy! Niczego się tak nie boję jak sukcesów. Bo sukcesy ślepią. Psiakość, wzrok mi się psuje, trzeba się wybrać do okulisty... O czym to mówię? O sukcesach. Robią taki hałas, jakby prócz nas nikt nie robił postępów. Gotowi osiąść na laurach! Najgorszy jest ten Hen. Zapalenie! Jak zacznie się cieszyć, to zapomina o tym i owym. U nas w ogóle lubi się zapominać! Co się dzieje z Krzyszkowiakiem? Trzeba go wyleczyć — powiadają. Więc dlaczego go, u diabła, nie wyleczą? Dlaczego nie wystawiano mu się na czas o kartę pobytu w Ciechocinku? Łupie mnie w plecach, trzeba się wybrać do... jak się taki lekarz od reumatyzmu nazywa? Mniejsza o to. O Krzyszkowiaku zapomniano. O mnie też. Dlaczego? Bo jest Graj. Jak mamy nową gwiazdę, to stara jest już niepotrzebna. No, no, plotkować niezłownie, ale Ha Ga ma rację: „Nie lubię powtarzać plotek, ale co właściwie można z nimi zrobić innego?”

O czym była mowa? O sukcesach. A tymczasem Iharos przebiegł 1500 metrów w 3:42,4, a czterech Niemców pokonało ten dystans w czasie poniżej 3:49. A Bannister? A Boysen, Jungwirth, Barthel? Trzymaj się, kolego Potrzebowski!

ŚRODA.

Mówią, że Hommonayowi udało się rewanż na Adamczyku. Nic podobnego! Co się Hommonayowi udało? Że wziął za trzecim razem wysokość 420, co robi do znudzenia od kilku lat. To Adamczykowi się tym razem nie udało. I tyle. A dlaczego? „Express Wieczorny” z przekąsem donosi, że Adamczyk skarży się, że startował w tym roku 2 razy w poważnych zawodach. A Hommonay w ośmiu! Dlaczego z przekąsem? Nie wiem. A ja wierzę Adamczykowi. Rozmawiałem z nim jeszcze podczas Spartakiady i już wówczas mistrz powiedział:

— Właściwie nie ma okazji do robienia wyników. Za granicą tyczkarz bierze co tydzień udział w poważnych zawodach.

Kiedy zapytałem go, dlaczego nie bierze udziału w dziesięcioboju, powiedział skromnie:

— Ja chciałbym skakać regularnie 430: jeśli bym to potrafił, byłbym zadowolony. Gdybym miał 7 metrów w dal i 175 wżwyz, to mógłbym coś zrobić w dziesięcioboju. Ale przy skoku w dal pęka mi zaraz ścięgno, a wżwyz skaczę teraz 165. — I dodał w zamysleniu: — Ale zimą potrenuję na 180.

Tak więc Adamczyk nie przecenia się. Trzeba mu po prostu umożliwić częste starty, w poważnej konkurencji, żeby miał te 420 tak pewne, jak obecnie ma 410.

CZWARTEK.

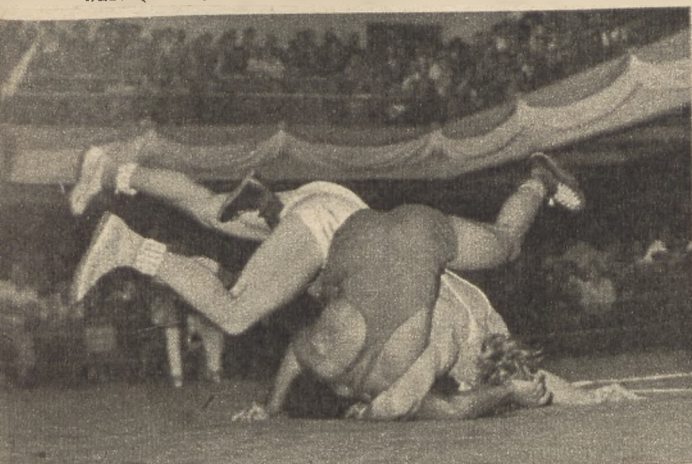
Ale co ja o tym będę mówił? Znowu powiedzą, że jestem zrzedą i że wolą po stokroć różnych niedowarzonych zapaleńców. To ja się nie będę wtracał! Ale to jedno powiem: Nie idzie przecież tylko o Adamczyka. Idzie także o Bednawskiego, Krześcińskiego, Szelągiewicza. Kiedy Potrzebowski święci triumfy na budapeszteńskiej bieżni, Witulski nudzi się jak mops, a Skupny marnuje swoje młode lata patrząc w niebo i czekając nie wiadomo czyjego miłosierdzia. Zawodnicy naszego „drugiego rzutu” to stawka liczna, rokująca najświetniejsze nadzieje, i dobre zawody trzeba urządzać także i dla nich.

I to w kraju! Bo wyjazdy za granicę to rzecz pożyteczna, konieczna, nieodzowna, potrzebna — ale również konieczna, nieodzowna i potrzebna są zawody w kraju, które dadzą okazję zmierzenia się z Moensami i Kucami całej naszej czołówce. Nie mówiąc o tym, że każde takie zawody zdobywają nowe rzesze miłośników lekkoatletyki. A już szczególnie dla dziennikarzy sportowych jest to specjalny wymarzony! Nie można wyrokować o wartości najmarniejszego dzieła literackiego, nie znając klasyków. Kiedy obserwujemy zmagania mistrzów, wyławiamy konflikty i problemy, rodzą się w nas tematy do artykułów i felietonów, rośnie nasza wiedza. Tylko nieliczni jednak szczęśliwcy mogą obserwować taką wspaniałą batalię jak tegoroczne mistrzostwa Europy. No to sprowadźcie nam mistrzów do kraju! W tym roku zobaczymy Belgów — Reiffa, Moensa, Hermana i Hansvyckę. Mam nadzieję, że to na początek. ...Łupie mnie w plecach, znowu deszcz!...

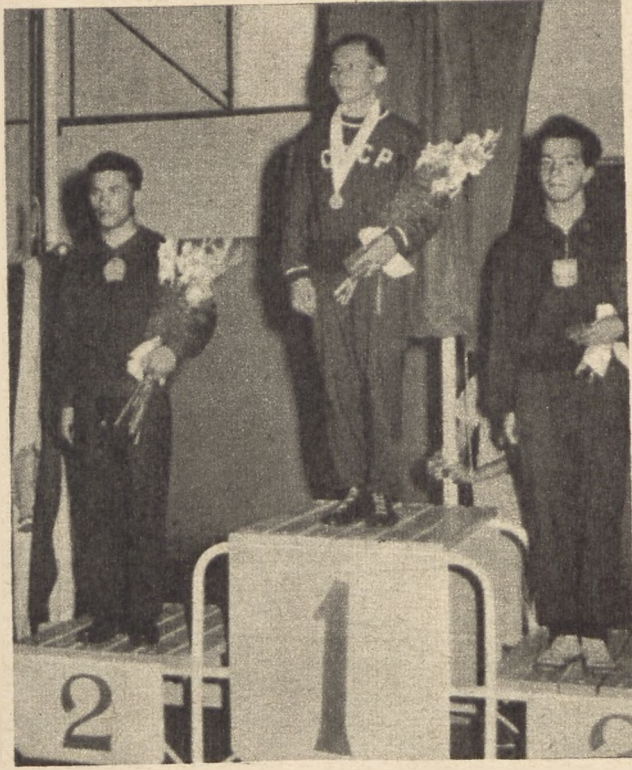


srebrnych i 20 brązowych medali. Drugie miejsce i srebrny medal w skoku o tyczce zdobył Adamczyk.

W wadze piórkowej Gondzik (Polska) zwyciężył Kharbasa (Indie) — zapewniając sobie IV miejsce w turnieju.

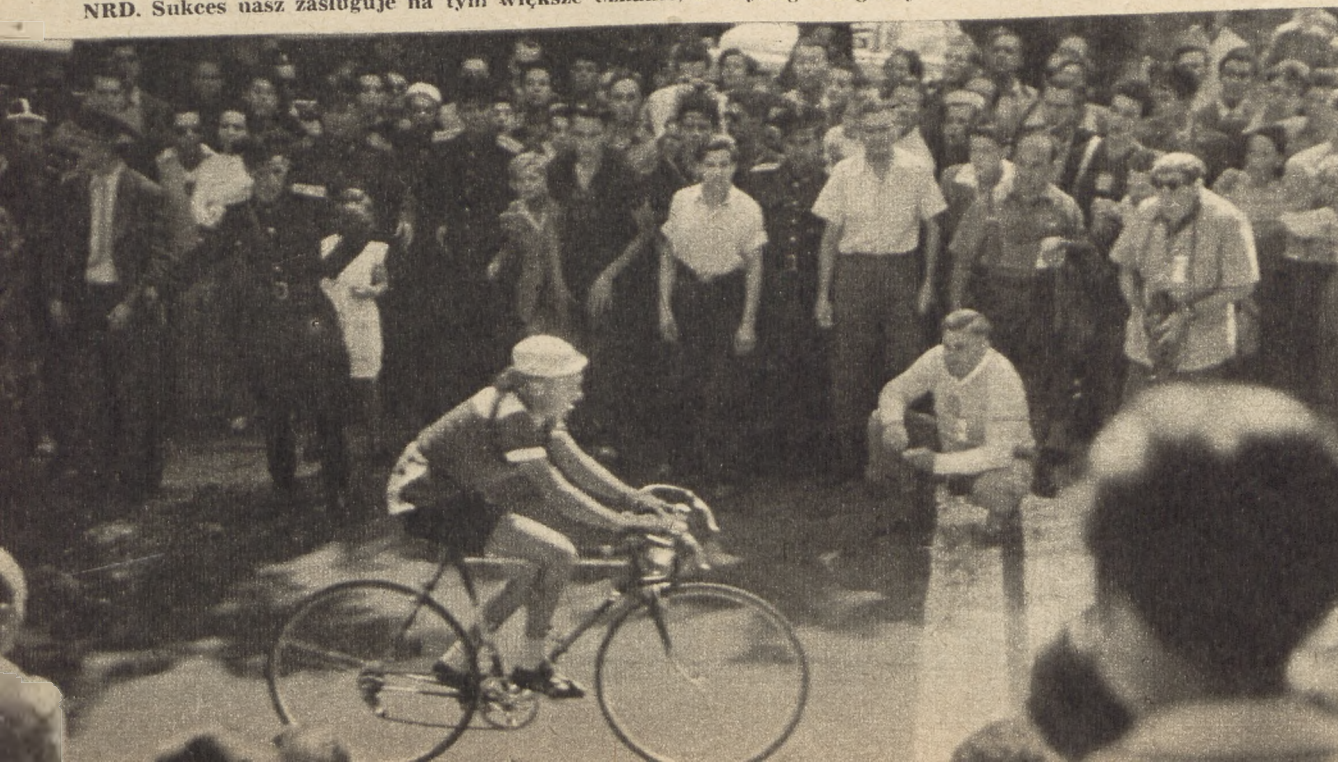
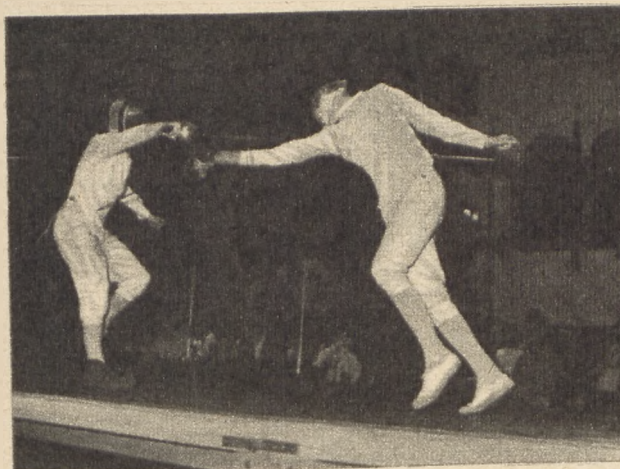


W wyścigu kolarskim drugi na mecie był Elek Grabowski; Polska zespołowo zajęła drugie miejsce — za drużyną NRD. Sukces nasz zasługuje na tym większe uznanie, że wyścig rozegrany został na trudnym górzystym terenie.



Oto zwycięzcy w turnieju zapasniczym (waga kogucia): Lenc — ZSRR, Hodos — Węgry i Sznajder — Polska.

Akademickim Mistrzem Świata w szpadzie został Polak Zimoch, którego widzimy w walce z Vary (Węgry).



PIERŚCIEN KARDYNAŁA

Napisał: MARIAN PODKOWIŃSKI



Adenauer jako nadburmistrz Kolonii, w swoim gabinecie. Był już wtedy członkiem Pruskiej Rady Stanu

PIERWSZE lata po ślubie nie są dla wpływowego ławnika miasta Kolonii pomyślne. W roku 1914 wybucha wojna, która pruskim pyszałkom przynosi wkrótce klęskę nad Marną. Generałowie von Kluck i von Falkenhayn, pupilkowie Wilhelma II, idą „na grzybki”. Przychodzi era Hindenburga i jego generalnego kwatermistrza, Ludendorffa. A ci domagają się od kraju coraz nowych ofiar i coraz innych wyrzeczeń. W Kolonii panuje już głód, brak drzewa i węgla. „Siedzimy na węglu i marzniemy!” — wołają ludzie Zagłębia Ruhry. Inni znajdują trociny w chlebie. Robotnicza ludność Kolonii już wtedy obnosiła po ulicach kukłę Adenauera, wołając przed ratuszem: „Nieder mit dem Graupenauer!”, co było aluzją do wydzielanych na karty żywnościowe brukwi i krup (Graupen). Blokada Niemiec zaciesnia z miesiąca na miesiąc pętlę głodu. A próba przełamania jej z pomocą łodzi podwodnych kończy się wypowiedzeniem wojny Niemcom przez Stany Zjednoczone.

W tym czasie Adenauer ulega katastrofie samochodowej. Doznaje poważnych obrażeń twarzy pozostawiających po sobie trwałą szpetotę. Wyrazem tej szpetoty jest ów charakterystyczny grymas złości, widoczny nawet wtedy, kiedy Adenauer śmieje się serdecznie. W chwilach zadumy ma twarz jakby Mefista. Przez kilka miesięcy przebywa w szpitalu, dokąd raz po raz trafiają hiobowe wieści z frontu.

W połowie roku 1917 burmistrz Kolonii i opiekun Adenauera, Wallraf, zostaje nagle odwołany do Berlina na stanowisko podsekretarza stanu. Przed odjazdem wysuwa kandydaturę swego pupila na fotel burmistrza. Jest to pierwsza przyjemna wiadomość dla Adenauera od wielu przykrych miesięcy. Ponieważ rada miejska jest w rękach klerykałów, propozycja Wallrafa równa się elekcji. Na 54 głosy Adenauer otrzymuje 52. Dwie kartki są puste.

W Kilonii marynarze niemieccy dali hasło do rewolucji. Thaelmann na czele „czerwonych” marynarzy



18 października roku 1917, w sali Izabelli historycznego ratusza dawnej Hanzy, Adenauer otrzymuje z rąk przedstawicieli państwa pruskiego, w obecności całego patrycjatu i możnych tego miasta, biskupów i prałatów, cesarskiej generalicji i przedstawicieli cechów, akt zatwierdzający go na pierwszego burmistrza Kolonii. Wybrany jest na 12 lat! Z pensją — 42 tysiące złotych marek rocznie. W dowód szczególnych łask król pruski i cesarz niemiecki nadaje mu tytuł „Oberbürgermeister” (nadburmistrza) i powołuje go do pruskiej Izby Panów. Ileż łask i zaszczytów!

Elekt jest wyraźnie wzruszony. Organ „Centrum”, „Koelnische Volkszeitung” (z 19 października 1917 roku) w ten sposób streszcza tekst przemówienia Adenauera do panów pruskich:

„Wróg czyha oczywiście na zdobycie Renu i jego metropolii (Kolonii). Jakże moglibyśmy godnie zakończyć tak ważną dla Kolonii chwilę, aniżeli złożeniem przepojonej nągięszą wdzięcznością przysięgi na wierność dla cesarza i Rzeszy oraz okrzykiem: Jego cesarska mość, nasz najmiłościwszy cesarz i król, niech żyje... Drei mal hoch!!!”

W sali, w której przed czterema jeszcze dziesiątkami lat Bismarck przyjmował hołd kolońskiej oligarchii, okrzyk Adenauera na cześć Wilhelma II nie spotkał się jednakże z należytytym entuzjazmem.

Mieszal się on bowiem z pomrukiem ludzi głodujących na ulicy...

Pomruk ten rósł w miarę jak i do Kolonii zaczęły trafiać budzące strach wśród mieszczan „Listy Spartakusa”, a niezależni socjaliści, którzy odłączyli się od oportunistów z SPD — zaczęli nieść w masy słowa wolności. Nastal przełomowy rok 1918. Gdy armie krwawiły jeszcze we Francji, cesarskie Niemcy dogorywały. Kiedy więc pod naciskiem mas pracujących Karol Liebknecht opuszczał 23 października roku 1918 więzienie w Luckau, tłumy zebrały się na dworcu Anhalckim w Berlinie, aby powitać trybuna ludu. Wilhelm Pieck redaguje odezwę do wojska. Róża Luksemburg organizuje Związek Spartakusa. Niezależni socjaliści (USPD) występują przeciwko renegatom z SPD, a z czasem lewica USPD połączy się wraz ze spartakusowcami w Komunistyczną Partię Niemiec. Na ulicach miast niemieckich falują tłumy.

Dla oligarchów z kolońskiego ratusza dzień 3 listopada 1918 roku był zaiste czarnym dniem. Tego bowiem dnia rewolucyjni marynarze z Kilonii pod wodzą Ernsta Thaelmanna zawiesili na ratuszu czerwony sztandar. Kilonia staje się kolebką rewolucji niemieckiej. Adenauer, który dopiero co wrócił z Berlina, gdzie był na ostatnim posiedzeniu pruskiej Izby Panów, zbiera zaufanych ludzi i naradza się. W Kolonii socjaliści siedzą jeszcze cicho — raportują usłudzy zauszniczy, ale w Kilonii „panuje już zaraza”. Na kolońskim ratuszu trwają więc przez całą noc narady nad wytworzoną sytuacją. Dzieje się to w czasie, kiedy separatysty otrzymują nowinki nadchodzące z Duesseldorfu, Wiesbadenu i Bonn, gdzie bankierzy i reńscy magnaci porozumiewają się z agentami francuskiego przemysłu. Oligarchowie Nadrenii kłopotczą się teraz nie o Niemcy, ale o własną kieszeń. Przypuszczają bowiem, iż wraz z podpisaniem zawieszenia broni, Francuzi wyprą Niemców z międzynarodowych koncernów, niemieckie monopole ustąpią pola francuskiemu imperialistom. A to gorsze aniżeli militarna klęska... Tworząc zaś państwo reńskie, właściciele kopalń i hut Zagłębia Ruhry stają się obywatelami nowego państwa, niemal sojusznikami dzisiejszych wrogów. I ratują swoje majątki. A to grunt!

Rajcowie miasta Kolonii naradzają się pod przewodnictwem Adenauera. Nadburmistrz zrazu nie wypowiada się. Milczy. Pod koniec powiada: „Berlin będzie czerwony lada chwila. Wracam stamtąd i wiem co mówię.



Pierwszy protektor Adenauera, wszechwładny bankier Hagen, w którego domu odbywały się tajne narady w sprawie oderwania Nadrenii od Niemiec

Chodzi o to, czy chcemy ukorzyć się przed Berlinem, czy też prosić o pomoc naszych zachodnich sąsiadów...”

A potem przez kwadrans klaruje ojcom miasta Kolonii o tym, co się dzieje w Berlinie. „Czerwoni” tylko patrzeć jak przejmą władzę w swoje ręce i wtedy wszystko przepadnie. Zabiorą fabryki i sklepy, cały dobytek i puszcza nas z torbami. „A my tutaj w Zagłębiu Ruhry — powiada z naciskiem Adenauer — jeszcze jesteśmy panami swojej woli”. Oderwanie od Niemiec — to jedyny ratunek przed skutkami rewolucji. Innej drogi nie ma... Daje raz jeszcze do zrozumienia, iż w państwie reńskim leży cała nadzieja i jedyny ratunek przed nadciągającą z Berlina rewolucją.

Kiedy o świcie opuszczają ratusz, przed dworcem gromadzą się tłumy. Czyżby z frontu wracały już nasze oddziały? — pytają ławnicy stojących po bramach policjantów. Nic podobnego — odpowiadają strwożeni schutzmami — nadeszła wiadomość, że „zbuntowani marynarze z Kilonii przybywają do naszego miasta”. ...Adenauer nakazuje natychmiast powiadomić o tym dowódcę wojskowego garnizonu, który powinien mieć pod swymi rozkazami 60 tysięcy żołnierzy. Kilonia jest bowiem twierdzą. Ale generał rozkłada bezradnie ręce. Nie może znaleźć ani jednego wiernego monarchii batalionu. Większość żołnierzy nosi już czerwone kokardy.

A tymczasem marynarze z Kilonii witani owacyjnie przez tłumy robotników i młodzieży wkraczają triumfalnie do miasta. Jest to pamiętny dzień 7 listopada roku 1918. Marynarze rozbijają więzienia i wypuszczają na wolność aresztowanych socjalistów i działaczy robotniczych. Ludność wytacza beczki piwa na rynek. Festyn wolności święci triumfy przy akompaniamentie wysadzanych fortów.

Kiedy ludzie wiwatują na rynku, Adenauer zwołuje nagle posiedzenie, na które zaprasza dowódcę garnizonu i przewodniczącego SPD, prawnicowca Wilhelma Sollmanna, redaktora „Rheinische Zeitung”. Sollmann, zaciekle wróg Liebknechta, należał do tych socjaldemokratów, którzy głosowali w r. 1914 za wojskowymi kre-

Kontrewolucja w akcji. W 1920 r. „Żelazna Brygada” Ehrhardta wkroczyła do Berlina. Tak rozpoczął się pucz



dytami dla Wilhelma II. Owocem tych narad jest późniejsza krytyka Adenauera wobec Rad Robotniczych i Żołnierskich, których powołania domaga się właśnie robotnicza ludność Kolonii, popierana przez rewolucyjnych marynarzy z Kilonii.

Tak więc 8 listopada, gdy ludność od rana czeka na rynku na proklamację republiki, na trybunie pojawia się klika Sollmanna i Heinricha Schaefera, sługusów imperializmu, ogłaszając powstanie Rady Robotniczej i Żołnierskiej. Tylko że lista członków tej rady jest odczytana wedle „uzgodnionej” na ratuszu listy Sollmanna... Znajdują się na niej kandydaci prawnicowego kierownictwa SPD i kilku rezerwistów z Landsturm — w charakterze „rewolucyjnych” żołnierzy! Aby zmylić czujność mas, Sollmann ogłasza, iż Rada kierować będzie sprawami zarządu miasta, a dotychczasowy nadburmistrz obejmie kierownictwo t.zw. komisją opieki społecznej (której kompetencje równają się funkcjom magistratu). Aby jednak nie wzbudzić podejrzliwości robotników, Sollmann zaznacza, iż Adenauer otrzyma specjalnego kontrolera ze strony Rady. A jest nim — pomocnik Sollmanna, Heinrich Schaefer...

„Zabezpieczony” w ten sposób Adenauer bierze się energicznie do roboty. Jego „kontroler” Schaefer — jak sam zresztą zaznacza w swoich wspomnieniach pt. „Pamiętniki reńskiego socjalisty” — nie przeszkadza mu zbyt i nie „wtrąca się tam, gdzie lepiej się zna „doświadczony samorządowiec” (jak określa starego lisa, Adenauera). Adenauer tworzy przede wszystkim tzw. „Buergerwehr” (straż obywatelską), do której powołuje wszystkie wierne cesarzowi elementy pruskie. Następnie układa plan działania „Komisji opieki społecznej”, która rzadzi odtąd faktycznie całym miastem. A Sollmann czuwa nad tym, aby Rada Robotnicza i Żołnierska nie przepracowywała się. Ostatnim wreszcie krokiem Adenauera na drodze do unicestwienia zwycięstwa kolońskich marynarzy było powołanie do „opieki społecznej” Jakuba Kaisera, chadeckiego związkowca, aby „pilnował” związku zawodowe i rady zakładowe. Triumwirat Adenauer-Sollmann-Kaiser staje na czele kolońskiej kontrrewolucji. Kiedy nazajutrz po rewolucji w Berlinie Karol Liebknecht 10 listopada rzucił na berlińskiej Radzie Robotników i Żołnierzy w cyrku Buscha pamiętne słowa: „Kontrrewolucja maszeruje, tak, ona jest i wśród nas” — judaszowa robota kolońskiego socjal-zdrajcy Sollmanna świeciła już pierwsze triumfy...

Początkową czynnością Adenauera jako przewodniczącego „Komisji opieki społecznej” były pertraktacje ze sztabem Hindenburga w Spa w sprawie przemarszu wojsk do Rzeszy. Z Belgii cesarskie wojska miały przejść przez mosty kolońskie do Prus.

Adenauer postanowił godnie przyjąć „obrońców ojczyzny”. Równocześnie z dowództwem wojsk brytyjskich, których czołówki postępują krok w krok za armią niemiecką, rokuje w sprawie przyspieszenia okupacji. Tylko w ten sposób ma nadzieję, iż uda mu się zlikwidować Radę Robotników i Żołnierzy i znowu owdładnąć miastem. O rozmowach tych z Anglikami napisze później obszernie ówczesny korespondent wojenny londyńskiego „Timesa”, D. E. R. Gedye w książce „Rewolwerowa republika”. Oficerem, z którym Adenauer rozmawiał o przyspieszeniu okupacji Kolonii, okazał się pułkownik F. G. Pigott ze sztabu 2 armii brytyjskiej, mianowany przez Lloyd George’a komisarzem Kolonii. Będzie o tym jeszcze mowa dalej.

Kappa, który w kilka dni później został zlikwidowany na skutek strajku generalnego w całych Niemczech



SWIAT

o tym wie!

FAŁSZERSKA GORĄCZKA

Prasa zachodnio - niemiecka zapadła na jakąś gorączkę fałszerską. Niedawno opisał ją kompromitującą aferę tygodnika „Deutsche Illustrierte”, który wysłał z palca historię o „najeździe czeskim na Bawarię” i podał serię sfalszowanych fotografii. A oto nowy kant hamburskiej „Die Welt”.

W związku z zestrze leniem dwóch samolotów chińskich przez samoloty amerykańskie startujące z lotniskowców USA w pobliżu wyspy Hainan, „Die Welt” zamieściła zdjęcie z podpisem:

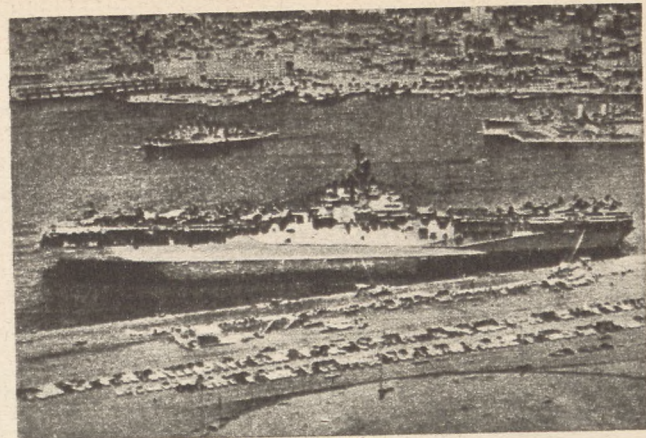
„Lotniskowiec USA w porcie Hainan. Z powodu incydentów lotniczych w pobliżu chińskiej wyspy Hainan zatrzymały się w porcie tej wyspy i na pobliskich wodach amerykańskie

lotniskowce „Hornet” i „Morze Filipińskie” (przed zakotwiczeniem w porcie). Radiofoto UP”.

Z podpisu tego wynikałoby, że zdjęcie przedstawia lotniskowiec „Morze Filipińskie” w porcie Hainan. Rzecz o tyle nieprawdopodobna, że port Hainan należy do Chińskiej Republiki Ludowej i lotniskowce amerykańskie nie mają tam oczywiście dostępu.

Okazuje się, że istotnie jest to zwykłe fałszerstwo. Albowiem zdjęcie to przedstawia wprawdzie lotniskowiec „The Philippine Sea”, ale w... porcie San Diego w Kalifornii, co jasno wynika z podpisu agencji UP, brzmiącego w oryginale:

„In this picture the „Philippine Sea” is seen tying up at San Diego,



USA-Flugzeugträger im Hafen von Hainan



Wegen der Flugzeugzwischenfälle vor der chinesischen Insel Hainan hielten sich im Hafen der Insel und im Seegebiet um Hainan die amerikanischen Flugzeugträger „Hornet” und „Philippine Sea” (vor Anker im Hafen) auf. Radiofoto UP

California”. (Na tym zdjęciu widać „Philippine Sea” gdy zarzuca kotwicę w San Diego, Kalifornia).

Ta fałszerska gorączka ma swą wymowę. Pano wie propagandyści z Bonn gonią widać w piętkę.

ŹRÓDŁO ZAINTERESOWAŃ

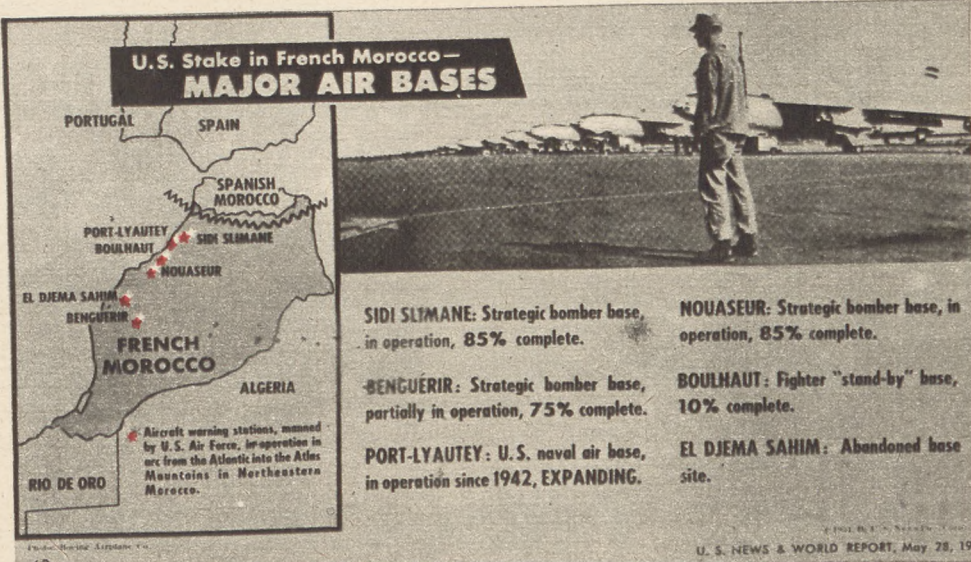
Amerykańskie zainteresowania francuskim Marokiem wyjaśnia poglądo wo znany reakcyjny tygodnik amerykański „US News and World Report” przy pomocy montażu obok:

Chodzi o „WIELKIE BAZY LOTNICZE”, na terytorium Maroka. Oto ich (niewątpliwie niepełna) lista:

Sidi Slimane: baza bombowców strategicznych, wykończona w 85 procentach.

Benguerir: baza bombowców strategicznych, częściowo czynna, wykończona w 75 procentach.

Port-Lyautey: amerykańska baza morsko-lot-



nicza, czynna od roku 1944, w rozbudowie.

Nouasseur: baza bombowców strategicznych, czynna, wykończona w 85 procentach.

Boulhaut: baza dla pościgowców „w pogotowiu”, 10 procent robót wykonanych.

El Djema Sahim: opuszczona baza.

Jeśli teraz wyczytacie gdzieś, że „wolny świat” interesuje się Marokiem, to już teraz będziecie na pewno wiedzieć dlaczego.

AMERYKAŃSKIE ZAMÓWIENIE

Dziesięć tysięcy sztuk, ozdobionych swastyką i napisem „Alles fuer Deutschland” (Wszystko dla Niemiec) zamówiła w Solingen, w Niemczech zachodnich pewna

wielka firma amerykańska.

Donosi o tym dziennik „Der Abend”, a agencja brytyjska „Keystone” nadesłała nam zdjęcie próbki zamówionego towaru.

Sztylety takie nosili zastrzyżeni hitlerowcy w czasach „Trzeciej Rzeszy”. Czy mają one być obecnie honorową odznaką zwolenników senatora McCarthy’ego? W

każdym razie zamówienie to świadczy, że byznesmeni amerykańscy troszczą się o pamięć przedwcześnie zgasłego, nieodżałowanego Adolfa i jego „rycerzy swastyki”.





— Do kogo?
— Do Wydawnictwa „Iskry”.
— Już po czwartej. Nie wolno wchodzić.
— Ale ja jestem umówiona właśnie na po czwartej.
— Nic mnie to nie obchodzi, mówię, że nie wolno i koniec.
— Ależ, proszę pana, ja się umówiłam z dyrektorem wydawnictwa, że przyjdę o tej porze, tam na mnie czeka.
— Cholerę mnie obchodzi z kim pani się umówiła! Jak się chce po godzinach, to trzeba mieć przepustkę.
— No to proszę dowód, niech mi pan wystawi przepustkę.
— Ja nie wystawiam.
— A kto wystawia?
— Na gorze — wrócił portier z apaszkowym wąsikiem, zajmując miejsce pierwszego, który na chwilę zniknął w sąsiednich drzwiach.
— No to proszę mnie wpuścić na górę, jak będę wracała, przyniosę przepustkę.
— Bez przepustki na górę nie wypuszczę, niech się pani stąd wynosi!
— Proszę pana, niech pan nie krzyczy i niech pan będzie grzeczny. Chociażby dlatego, że pracuję pan w instytucji, która służy sprawom kultury. Proszę mi podać numer wewnętrzny sekretariatu „Iskier”, to zatelefonuję, żeby mi przysłali przepustkę.
— Nie znam numeru. To nie moja rzecz. Wyjdźcie pani stąd nareszcie, czy nie?
— Na szczęście nadeszła jedna z redakterek „Iskier”.
— Towarzyszka do nas?
— Tak, właśnie, ale... — nieszczerza petentka opowiadała o swych perypetiach z portierami.
— Dlaczego nie chcecie wpuścić towarzyszek, skoro ma pilną sprawę do załatwienia w wydawnictwie i jest umówiona?
— Bez przepustki nie wpuszczę.
— Krótka wymiana zdań, w czasie której portier krzychał, groził, wymachiwał z wściekłością rękami.
— Zaraz wejdę na górę i powiem, że jesteście — zwróciła się do petentki.
Po kilku minutach zjawiała się młoda niewiasta, redaktor działu, do którego śpieszyła wielce już zakłopotana interesantka.

— Proszę na górę, właśnie czekamy.
— Nie wypuszczę! — ryknął portier i zatrasował wejście. — Bez przepustki nie wolno.
— Przepustki wydać nie możemy, ponieważ sekretariat jest już zamknięty. A to jest autorka, która ma podpisać z nami umowę. Specjalnie w tym celu przyjechała na jeden dzień do Warszawy. Proszę nie robić trudności — powiedziała stanowczo i wzięwszy autorkę za rękę pociągnęła za sobą na górę.
— Ja wam pokażę! — wrzeszczał za nimi portier — ja was obie tak urządzę, że po pamiętacie!
Na tym jednak nie koniec. Gdy załatwiwszy swoje sprawy autorka, która zapomniała już zapewne o poprzednim incydencie, zmierziała ku wyjściu, ten z wąsikiem rzucił się na nią.
— Nie wypuszczę!
— Jakto pan nie wypuści? Dlaczego?
— Bo pani weszła bez przepustki nielegalnie, bezprawnie, a teraz pani na pewno wynosi książkę w tym plecaku.
— Proszę pana, niech pan się opamięta, pan chyba oszalał! Przecież ja z tym plecakiem weszłam na górę.
— Pani nie wypuszczę, a plecak zatrzymuję!

Autorka, dotąd spokojna, podniosła głos. Zbiegli się ludzie, zewsząd wyglądali głowy ciekawych. Zjawili się też inni portier, który przybiegł „na pomoc” temu z wąsikiem. We dwojkę usiłowali ścignąć plecak.
— Jeśli chcecie mnie rewidować, zawołajcie milicję. Proszę, niech pan w tej chwili dzwoni po milicję, a ręce precz!
Z pokoju obok wybiegła jakaś urzędniczka i chwyciwszy autorkę za rękę, pociągnęła ją za sobą do pokoju.
— Niech pani się u mnie schowa. Co robić? Doprawdy, jak przykro, oni zupełnie powariowali. Co robić?
Słyszac dochodzące z dołu krzyki, nadbiegła redaktorka z „Iskier”. Jej interwencja nie nie pomogła. Po raz drugi została soczyszcie zwymyślana. Portierzy bowiem „należą” do Wydawnictwa „Książka i Wiedza”, które zajmuje większą część gmachu. Pracowników „Iskier” nie uznają i lekceważą.

Podczas gdy na gorze szukano kogoś z kierownictwa „Książki i Wiedzy”, by wrzeszcze zwolnić uwieczoną autorkę, do portierni przybyli inni interesanci.
— Do kogo?



— Do „Iskier”.
— Po czwartej nie wolno.
— Ale ja jestem umówiony właśnie na czwartą trzydziestą.
— Cholerę mnie obchodzi, że pan jest umówiony, bez przepustki nie wolno.
— To niech mi pan wystawi przepustkę. A poza tym może by tak trochę ciszej, bo te krzyki są zupełnie zbędne.
Dalszy ciąg jak poprzednio... Następni interesanci mieli jednak więcej szczęścia, ponieważ nadszedł właśnie ktoś z kierownictwa „Książki i Wiedzy”. Po dłuższej wymianie zdań portier zgodził się laskawie wypuścić autorkę z gmachu.

Syrenka, która przypadkiem była świadkiem tych zajść (działo się 26 lipca br.), żywi głęboką nadzieję, że dyrekcję „Książki i Wiedzy” nie będzie „cholerę obchodziło”, kto tak „godnie” reprezentuje wydawnictwo. Syrenka sądzi, że obowiązkiem portiera jest uprzedzić i grzecznie informować interesantów i właściwie pilnowanie porządku. Psy lancuszkowe, ujadające na każdego przechodnia i chwytające go z wściekłością za łydke, są tu — jak mi się wydaje — elementem raczej niepożądanym.

Syrenka z niecierpliwością oczekuje wiadomości, od kiedy wrzeszcze autorki będą mogli spokojnie załatwiać swe sprawy w „Iskrach” oraz „Książce i Wiedzy” bez impertynencyjnych awantur ze strony panów portierów.

Od i do Czytelników

Postaramy się podsumować wczasy. W ciągu tego lata nasłuchaliśmy się tylu pochwał pod adresem tego- rocznej organizacji czasów i tylu... żalów, że nasze wnioski nie okazały się chyba niesłuszne.

Skargi na rozmaite braki w rodzaju niedostatecznej liczby naczyń stołowych, obrusów na stołach, niedostatecznego wyposażenia pokoiów, niegrzecznej obsługi, niesmacznego wyżywienia — należą na szczęście do rzadkości. Jeśli takie żale w ubiegłych latach powtarzały się niemal nagminnie — w tym roku możemy zanotować z przyjemnością mnóstwo pochwał właśnie za dbałość o te sprawy ze strony kierownictwa ośrodków wczasowych.

Natomiast w sprawie instruktorów kulturalno-oświatowych, w sprawie niewłaściwego pojmowania roli rad turnusowych przez kierowników poszczególnych domów — o, tu jeszcze niejedno jest do naprawienia. Przede wszystkim: instruktor kulturalno-oświatowy, który wykonuje swój plan bez względu na pogodę — jest złym instruktorem. Urządzanie wycieczek, zawodów sportowych itp. w czasie ulewnej deszczu, bo „już zostało tak umówione” — jest nonsensem, który niestety jeszcze zdarza się dość często. Organizowanie najrozmaitszych imprez kulturalno-oświatowych systemem znanym w języku biurokracji „odfajkowywanie” też nikomu się nie podoba. No bo pomyślcie sami: w turnusie są młodzi ludzie — najchętniej oczywiście witają rozmaite imprezy sportowe, wycieczki, spacery itp. A teraz wyobraźcie sobie, że w następnym turnusie przeważają ludzie starsi. Woleliby więcej zajęć świetlicowych, spacerów mniej „wycyznowe”, więcej występów artystycznych czy odczytów, a tu, zachęcony uprzednim powodzeniem, instruktor k.o. z żelaznym uporem realizuje poprzedni „wycyznowy” program... Tak nie można. Od tego jest właśnie rada turnusowa, żeby z nią wspólnie układać program rozrywek, najbardziej odpowiadający aktualnym wczasowicom.

Na marginesie pragniemy przypomnieć, że rady turnusowej, której zadaniem jest właśnie ściśle współdziałanie z kierownictwem ośrodka dla zapewnienia całemu turnusowi jak najmielszego spędzenia czasu — absolutnie nie należy używać do rozmaitych czynności gospodarczych. A i to się jeszcze zdarza...

Ale przynajmniej otwarcie: zażaleń tego typu było naprawdę tego lata mało, a pochwał pod adresem wczasów — dużo.

Ale... jest i ale, i to dość poważne. Terenowe władze — rady narodowe, komisje uzdrowiskowo-wczasowe — naturalni gospodarze miejscowości wczasowych zdają się w wielu wypadkach zapominać o najelementarniejszych zasadach „gościnności”. A ta w stosunku do wczasowiczów obowiązuje przede wszystkim!

Dlaczego w wielu miejscowościach zaniedbane są parki, brak ławek, nie działają fontanny, zakłady kąpielowe i inne tego typu, umiające pobyt, urządzenia?

Dlaczego w niektórych miejscowościach wypoczynkowych licznie odwiedzanych przez wczasowiczów nie ma ani kawiarni, ani dancingu, ani żadnych objazdowych zespołów, ani w ogóle żadnych imprez rozrywkowych, jak np. w Spale?

Dlaczego komplikuje się w biurokratyczny sposób formalności meldunkowe oraz zarządza „przerwę obiadową” w najgorętszej plażowej porze dnia w kioskach z napojami chłodzącymi — jak np. w Miedzyzdrojach?

Takich „dlaczego” znajduje się jeszcze sporo, nie wspominając już o „wrózkach”, które bezkarnie grasują i napastują wczasowiczów na deptakach, zwłaszcza w miejscowościach nadmorskich.

Byłoby dobrze, gdyby kierownictwa poszczególnych ośrodków wczasowych, zaprowadziwszy w wielu wypadkach (co z zadowoleniem stwierdzamy) porządek „we własnym obiegu” — zechciały wyrzec nieco dalej, poza swoje „królestwo” i postarały się wspólnie z terenowymi władzami, a ku radości i pożytkowi wczasowiczów, aby i tego rodzaju skargi straciły rację bytu.

„ŚWIAT”

PRASZKA

DO PODSKAKIEWICZA

Podskakujesz jak wróbel przed najniższą władzą, jak jaszczurka się płaszczysz, malpjo zerkasz w górę:

szkoda, że cię tak w ZOO do klatki nie wsadzą — byłby konkurs na nazwę takiej kreatury.

ANTONI SIKORSKI

SWIAT

TYGODNIK ILUSTROWANY
Redaguje Komitet

Wydawca: R.S.W. „PRASA”

Redakcja: Warszawa, Nowy Świat 58. Telefon: Red. Naczelny: 6-41-64, Centrala 6-41-02, 6-41-23. Administracja: Warszawa, Wiejska 12, tel. 8-24-11. Prenumerata miesięczna zł 4,80, kwartalna zł 14,40, półroczna zł 28,80, roczna zł 57,60.

Informacji w sprawie prenumeraty opłacanej w kraju ze zleceniem wysyłki za granicę udziela oraz zamówienia przyjmuje Oddział Wydawnictw Zagranicznych PPK „Ruch” Sekcja Eksportu — Warszawa, Aleje Jerozolimskie 119, tel. 805-05.

Zakłady Włósnodrukowe i Introligatorskie RSW „Prasa” Warszawa, Okopowa 58/72.

Zam. nr 471. Papier: fotogr. V 80-82 cm — 5-B-18523 podpisano do druku 18.VIII.54.

ANECDOTY

PROPAGANDA

RECENZJA

Pewna fabryka przetworów chemicznych zwróciła się swego czasu do Bernarda Shawa z propozycją nazwania nowej pasty do butów jego nazwiskiem: Shaw — krem do obuwia.

— Czy to nie będzie wspinała propaganda dla pana — pisała ta firma. — Przecież miliony osób, które będą sobie co rana czyścić obuwie, będą musiały myśleć o panu. Na tę propozycję Shaw odpowiedział:

— A w jaki sposób potrafię spopularyzować mnie wśród milionów chodzących boszo?

W jednym z numerów poznańskiej „Kultury” z roku 1937 znajdujemy następującą recenzję teatralną: „Szanaowna Redakcjo! Najuprzejmiej proszę o zwolnienie mnie z obowiązku napisania recenzji z tego czegoś, co wystawia Teatr Polski w Poznaniu pt. „Kto zabił?” Na prawie się nie znam. W sędzie nie byłam. Nie posiadam więc potrzebnych kwalifikacji. Nie wiem również, co „to” ma wspólnego z teatrem.

Recenzent przygotował do druku J. KULAGA

KSIAZKI

GEORGI DYMITYROW „Pisma wybrane” (Książka i Wiedza, 1954, str. 484). Zebrał w tym tomie przemówienia i artykuły ilustrujące życie i działalność Georgi Dymitrowa — życie stanowiące jedną z najpiękniejszych kart historii międzynarodowego ruchu robotniczego. Przemówienia końcowe w synnym procesie o podpalenie Reichstagu otwierają wybór — zamykają go zaś referaty i mowy Dymitrowa wygłoszone u schyłku życia, w roku 1948.

„LUBLIN” — (Książka i Wiedza, 1954, str. 296). Książka ta wydana została na 10-lecie Polski Ludowej i zawiera tematycznie 3 okresy: Pierwszy — to „Kartki z wielkiej przeszłości”. Czytelnik znajdzie w tej części historię dziejów Lublina, wizerunki ludzi i spraw tworzących obraz walki o postęp i sprawiedliwość — od Staszica, Piotra Ściegiennego i ks. Stanisława Brzózki — poprzez rewolucyjne tradycje Lublina z okresu walk z carskim uciskiem — aż po dzieje walk ziemi lubelskiej z hitlerowskim okupantem.

Okres drugi — zawarty w części zatytułowanej „10 lat temu”, poświęcony jest niezapomnianym dniom Manifestu Lipcowego i zawiera najcenniejsze fragmenty współczesnej literatury związanej z tym okresem.

Trzeci wreszcie — „Nowe życie Lubelszczyzny” — obrazuje olbrzymią drogę rozwoju, przebyta przez ziemię lubelską w ciągu 10-lecia, przez tę ziemię, która z zaniedbanej i zapomnianej staje się ziemią przodującego rolnictwa.

JERZY ROS — „Podróż po Polsce Planu Sześcioltniego” (Książka i Wiedza, str. 68). Jest to zbiór reportaży, wiodących czytelnika poprzez główne obiekty i węzłowe zagadnienia Planu. Reportaże zapoznają czytelnika równocześnie z twórcami Planu 6-letniego: ludźmi pracującymi nad jego wykonaniem w fabrykach i na polach.

FLAUBERT GUSTAW — „Salambo” — przekł. z franc. W. Rogowicza — wstęp A. Sandauiera (PIW 1954, str. 321). Zupenie nie podobna do pozostałej twórczości Flauberta powieść przenosi nas w III wiek przed naszą erą, do starożytnej Kartaginy. Na tle historycznego wydarzenia, jakim był bunt najemnych wojsk użytych do walk z Rzymem — autor osnuł półrealistyczną, półfantastyczną opowieść o pięknej Salambo, córce kartagińskiego wodza Hannibala. Wspaniała wyobraźnia pisarza stworzyła pełen barw obraz starożytnego świata, jego ludzi, ich życia, obyczajów, radości i tragedii.

WALLIS MIECZYSLAW — „Canaletto malarz Warszawy” (PIW, 1954). W pięknej serii malarskich monografii albumowych PIW-u wydawnictwo poświęcone warszawskiej twórczości Bernarda Belotto zwanego Canaletto — stanowi nową wartościową pozycję. W ciągu 13 lat pobytu w Warszawie (1767 aż do śmierci) Canaletto jako nadworny malarz Stanisława Augusta stworzył 70 obrazów, a w ich liczbie piękny cykl widoków Warszawy. Przywracając dziś Starej Warszawie jej dawne piękno — korzystamy niejednokrotnie z jej wizerunków utrwalo- nych w obrazach wielkiego malarza. Album — obok szkicu biograficznego i charakterystyki twórczości Canaletta — zawiera 118 jednobarwnych i 4 wielobarwnych reprodukcji ciałych obrazów i rozmaitych ich fragmentów.

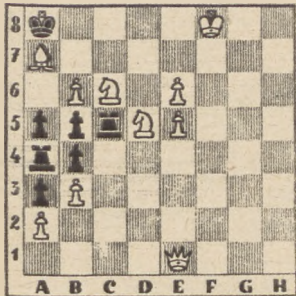
LENGREN



— ...A wiesz, z wasami było ci lepiej...

SZACHY

ZADANIE POZAKONKURSOWE M. Wróbel



Mat w 3 posunięciach

PARTIA NR 121

grana na II szachownicy w
IV rundzie meczu
ZSRR — USA

Obrona Nimzowitscha

Białe: Bronstein (ZSRR)
Czarne: Denker (USA)

1. d2—d4 Sg8—f6 2. c2—c4
e7—e6 3. Sb1—c3 Gf8—b4 4.
Hd1—c2 c7—c5.

Dzisiaj częściej używana tu
jest bardziej elastyczna kon-
tynuacja 4... 0—0.

5. d4:c5 Sb8—c6 6. Sg1—f3
0—0 7. a2—a3 Gb4:c5 8. b2—b4
Gc5—e7 9. Gc1—b2 d7—d5.

Teoria debiutów poleca tu
9... b6 z szybkim rozwinię-
ciem hetmańskiego gońca.

10. e2—e3 Gc8—d7.

Po 10... d:c4 11. G:c4 białe
uzyskałyby wyraźną przewa-
gę pozycyjną, toteż Denker
godzi się na powstanie izolo-
wanego piona.

11. c4:d5 e6:d5 12. Gf1—e2
Wa8—c8 13. 0—0 Ge7—d6 14.
Wal—d1 Sc6—e5.

Czarne przygotowują atak
na skrzydle królewskim.

15. Hc2—b1 Gd7—g4 16.
Sc3:d5 Sf6:d5 17. Wd1:d5
Se5:f3+ 18. g2:f3 Gd6:h2+ 19.
Kg1:h2 Hd8—h4+ 20. Kh2—g1
Gg4—e6 21. Wd5—d4 Hh4—g5+

22. Wd4—g4 Ge6:g4 23. f3:g4
f7—f5 24. f2—f4.

Po tej „krwawej bitwie”
okazało się, że czarne nie o-
siągnęły nic dobrego. Oddały
one dwa gońce za wieżę nie
uzyskując w zamian wystar-
czającego ataku.

24... Hg5—e7.

Zle 24... Hh4 25. He1 Hh3 26.
Wf3 nie można 26... H:g4+, bo
27. Wg3.

25. Gb2—d4 f5:g4 26. Kg1—g2
He7—e6 27. Wf1—h1 g7—g6 28.
Kg2—g3 Wc8—c3.

W ten sposób czarne zdoby-
wają piona, gdyż obok 29...
W:a3 grozi również 29... W:e3!
Jednak Bronstein niewątpli-
wie nie przejął się tą stratą
i... przeprowadził wygrywa-
jącą kombinację.

29. Ge2—d3 Wc3:a3.

I inne posunięcia nie rato-
wały już partii.

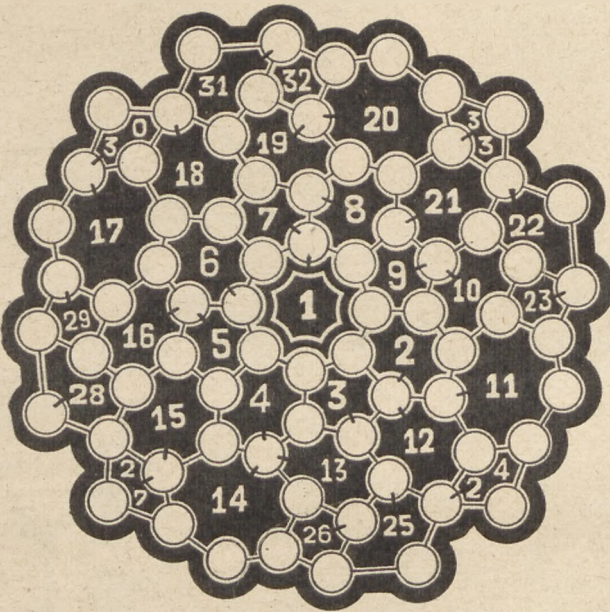
30. Wh1:h7! Kg8:h7 31. Hb1—
h1+ Kh7—g8 32. Hh1—h8+
Kg8—f7 33. Hh8—g7+ Kf7—e8
34. Gd3—b5 i czarne poddały
się.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

WIROWKA

Dookoła poszczególnych
liczb wpisać w kierunku ru-
chu wskazówki zegara 33 wy-
razy o poniższych znacze-
niach. Początek wpisywania
każdego wyrazu zaznaczony
jest kreską.

Znaczenie wyrazów: 1) Bie-
da, niedostatek, 2) Długa mowa,
potok słów, 3) Należyte
nasylenie się, 4) Kładki przez
rzekę (wspak), 5) Przyzwyd
do przecedzania płynów, 6)
Sedno, treść rzeczy, 7) Przy-
prostokątna w trójkącie pro-
stokątnym, 8) Zakład prze-
mysłu drzewnego, 9) Jednost-
ka miary drogich kamieni,
10) Kraj w Ameryce północ-
nej, 11) Osada polska w Azji
Mniejszej, założona przez ks.
Czartoryskiego, 12) Religijna
księga żydowska, 13) W ma-
tematyce: pewne stałe mno-
żniki, 14) Łowcy, 15) Otrzeź-
nia sadowe, 16) Napój chłod-
zący z soków owocowych i
cukru, 17) Zastąpienie utra-
conych członków ciała sztucz-
nymi, 18) Najwyższy urzęd-
nik sądowy w starożytnym
Rzymie, 19) Ozdobny talerz,
20) Zwierzę drapieżne, 21) Ta-
niec kozacki, 22) W gwarze:
pies, 23) Uczony mahometan-
ski, 24) Rekojęść zarn do u-
bracania kamienia, 25) Ina-
czej: wiedział, znał, 26) Łak-
omy, pożydlwy (s=s), 27)
Zezwolenia na wjazd do ob-
cego państwa, 28) Nieliczne
już dziś ssaki leśne, 29) Zwie-
rzę przeżuwające z krótkimi
nogami żyjące w Indiach
Wschodnich i Afryce Wschod-
niej, 30) Inicjały produkującej



partii w Polsce, 31) Część po-
została po ściętym drzewie,
32) Nakrycie na łóżko, 33)
Część, odcinek pracy.

(A. Krawczyk — Łódź)

Rozwiązania należy nad-
syłać w terminie 10-dniowym

od daty ukazania się numeru
pod adresem redakcji z do-
piskiem na kopercie „Roz-
rywki umysłowe”. Wśród
Czytelników, którzy nadesła-
li prawidłowe rozwiązania, roz-
losowane zostaną

nagrody książkowe.

ROZWIĄZANIE ZADANIA Z NR 151

KRZYŻÓWKA: *Walka o
pokój trwa.* (Argonauta,
awangarda, afektacja, alkoholi-
k, kataplazm, misjonarz, za-
bójstwo, oligoklas, skorupiak,
kartoteka, aklamacja, Artaba-
zom, Słowianin, nastawnik,
klepsydra. W kole: (raport,
tampion, nakład, Dzików, woj-
sko, omasta, agrest, tratwa,
amator, rektor).

Za dobre rozwiązanie zada-

nia z nr 151 nagrody książko-
we otrzymują:

F. Begajowicz — Kościeli-
sko, H. Bykowski — Poznań,
J. Czyżewski — Kraków, W.
Fabisiuk — Warszawa, W.
Giedryk — Białystok, S. Len-
kiewicz — Strzyżów, B. Lił-
pop — Włochy, R. Majewski
— Warszawa, J. Marcinkie-
wicz — Otwock, L. Niemcowa
— Bielsko, F. Pietrzykowski

— Cieplice Śląskie-Zdrój, E.
Podwojska — Wałcz, Z. Pla-
szyńska — Oświęcim, L.
Schmidt — Wrocław, A. Sie-
niewicz — Suwałki, J. Sulow-
ska — Szczecinek, W. Szproch
— Dąbrowa Górnicza, M. Szy-
mański — Wrocław, A. Wa-
chowski — Inowrocław, J.
Wronowska — Świdów k/War-
szawy.



Jeśli suszone grzyby namo-
czycie w mleku, to pęcznie-
jąc odzyskają smak tak dale-
ce, że niewiele będą różniły
się od świeżych...

Zeby biały i żółty ser nie wy-
sychał latem, przechowujcie
go w serwetce namoczonej w
roczynie octu...

Jeśli masło lub smalec przy
przetapianiu przypała się
wam, nie martwiecie się —
przykry smak można usunąć,
ponownie przetapiając z do-

datkiem kawałka marchew-
ki...

Jeśli chcecie mieć szybko i
dobrze ubitą pianę z białek,
dodajcie szczyptę soli...

Smażąc powidła lub konfitu-
ry, ściany naczyń wysma-
rujcie smalcem a unikniecie
przypalenia...

Przekrojona cebula długo po-
zostanie świeża, jeśli po-
wierzchnię posmarujecie ma-
słem...

Przykryjcie musztardą pla-

sterkiem cytryny, a długo
będzie świeża — nabierze
przy tym przyjemnego zapa-
chu...

Czy wiecie, że węgiel lepiej
się spala i nie pozostawia sa-
dzy, jeśli pokropicie go sło-
ną wodą?...

Zeby kwiaty w wazonie dłu-
żej się trzymały, należy do
wazonu wrzucić miedzianą
monetę...

Zaschniętej paście do butów
przywrócić świeżość dodając
do niej kilka kropli octu...

Zeby nie płakać przy kraja-
niu cebuli, ogrzej noż przed-
tem lub krój na rozgrzaną
blachę...

Z NOWOŚCI NAUKOWO-WYDAWNICZYCH

Jean Le Rond d'Alembert: WSTĘP DO ENCYKLOPEDII
str. 188 zł 16,—

Tomasz Hobbes: LEWIATAN
str. XXII — 658 zł 35,—

Gerard Labuda: SŁOWIANSZCZYNA PIERWOTNA. MA-
TERIAŁY ŹRÓDŁOWE DO HISTORII POLSKI EPO-
KI FEUDALNEJ
str. 360 zł 12,85

Marian Małowist: STUDIA Z DZIEJÓW RZEMIOSŁA
W OKRESIE KRZYŻU FEUDALIZMU W ZACHOD-
NIEJ EUROPIE W XIV I XV W.
str. 488 zł 31,75

Marian H. Serejski: UPADEK CESARSTWA RZYMSKIEGO
I POCZĄTKI FEUDALIZMU NA ZACHODZIE
I W BIZANCJUM. MATERIAŁY ŹRÓDŁOWE DO
HISTORII POWSZECHNEJ EPOKI FEUDALNEJ
str. 214 zł 6,—

ŚLADAMI DAWNYCH KULTUR. Praca zbiorowa archeolo-
gów radzieckich. Przekład z rosyjskiego.
str. 347 i fotogr. zł 17,50

Tadeusz Łychowski: ZAGADNIENIA OBROTU MIĘDZY-
NARODOWEGO
str. 558 zł 42,—

Jan Śniadecki: WYBÓR PISM NAUKOWYCH
str. 460 zł 11,10

NAUKA PAWŁOWA A FILOZOFICZNE ZAGADNIENIA
PSYCHOLOGII. Praca zbiorowa Instytutu Psychologii
Akademii Nauk ZSRR. Przekład z rosyjskiego
str. 420 zł 22,—

ZAGADNIENIA FILOZOFICZNE FIZYKI
ZESZYT 2. ZAGADNIENIA FILOZOFICZNE MECHANIKI
KWANTOWEJ. Przekład z rosyjskiego
str. 204 zł 5,40

ZESZYT 3. ZAGADNIENIA FILOZOFICZNE TEGRII
WZGLĘDNOŚCI. Przekład z rosyjskiego
str. 288 zł 14,65

Gajus Swetoniusz Trankwillus: ŻYWOTY CEZARÓW.
Przekład z łacińskiego
str. 394 zł 25,05

PAŃSTWOWE WYDAWNICTWO NAUKOWE

LITERATURA MIESZCZAŃSKA W POLSCE OD KOŃCA XVI W. DO KOŃCA XVII W.

Opracowali: Kazimierz Bu-
dzyk, Hanna Budzykowa,
Julian Lewański
(Z prac Instytutu Badań Li-
terackich Polskiej Akademii
Nauk)

I. I. S. 738, I. H. S. 527 — zł 20,—
PAŃSTWOWY INSTYTUT
WYDAWNICZY



Drzeworyt St. Ostoji-Chrostowskiego

FLOTA GDAŃSKA rozrosła się bujnie po powrocie w r. 1454 tego rdzennie